Nr. 3. Lwów, Niedziela dnia 17. stycznia 1875 r. **Rok II.**



TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr., półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sgr.

LUŹNE UWAGI.

III.

O SZERZENIU OŚWIATY POMIĘDZY LUDEM.

II. W myśl programu naszego, mamy się zastanowić, jakiemi środkami oświatę między ludem rozszerzać wypada. Zdaniem naszem dwa służą po temu środki: teorja i praktyka. Książki, czasopisma, nauka żywem słowem i zawiązywanie stosunków z ludem. Książki i czasopisma, są nader użytecznym i dzielnym środkiem, jeżeli umiejętna spisuje je ręka, a zręczna do czytania poddaje. Lud wszelki, jest konserwatystą najzupełniejszym i między nim najtrudniej przyjmują się nowe myśli, pojęcia, idee; ztąd też z nadzwyczajną ostrożnością pisarz ludowy postępować winien, chcąc lud do lepszego skłonić. Nienależy nigdy stanowczo potępiać choćby nawet przesądów i zabobonów ludowych, ale dawać mu w pismach wzory dobre, przykłady, tak, aby lud sam z nich naukę wyciągnął moralną. Najgorzej czynią ci pisarze niedoświadczeni, co niezrozumiałych ludowi używają wyrażeń i siłą się nieznane mu, abstrakcyjne narzucać pojęcia. Zgubnie działaliby ci, coby w czemkolwiek powagę kościoła i religji w oczach jego zachwiać chcieli, lud posłuchu im nie da, a zatruje się sceptycyzmem, który w masach jest destrukcyjnym materjałem. Ludowi należy w pismie tłómaczyć wszystko z czem się styka, a czego nie rozumie, prostować jego skrzywione stosunki do rodziny, do gminy, do dworu, do plebanji, do urzędu itd., należy niejako stanąć w pośrodku wsi i prowadzić lud po drodze jego działalności obywatelskiej i w ogóle człowieczej. Lud przytem posiada ogromny zmysł praktyczny, skutkiem czego też powstało przysłowie o chłopskim rozumie.

Lubi on czytać to, z czego praktyczną odniesie korzyść, odsuwa się od czczych frazesów, od abstrakcyjnych, teoretycznych artykułów. Należy mu więc podawać rady tyczące gospodarstwa, stosunków z władzami, podawać wiadomości z historji powszechnej i kościelnej, doniesienia polityczne itd., lecz nigdy górnolotnych artykułów bez wybitnej treści. Zdarzyło nam się czytać artykuł w pewnem piśmie ludowem, o rozbiorze Polski traktujący. Autor tak zaczął: „Sto lat minęło, jak naród spętany ciężkiemi więzami niewoli, żywi w swej piersi wieczny ogień miłości ojczyzny, choć jękiem rozbrzmiewa się ku niebiosom.“ Czyż wieśniak zrozumie coś podobnego? Gdyby nawet myśl główną zrozumiał, czytać dalej nie będzie i powie: „Pisze ta jakoś byle co.“ Tę samą myśl można mu powiedzieć w ten sposób: „Sto lat temu, miały polskie kraje, w których teraz rządzi N. Cesarz Austrjacki, król pruski i car moskiewski, swego własnego polskiego króla. Lepiej to się wtenczas działo, a ludzie starzy pamiętają jeszcze, jak im ich ojcowie o tem powiadali. Lepsza matka, jak macocha. Lepszy król polski w polskim kraju, nad polskim narodem, jak prusak albo moskal itp.“ Ustęp z owego pisma ludowego zacytowany, poczyta lud po prostu za kłamstwo, bo o niewoli nic nie wie i pojęcia tego wyrazu dokładnie nie pojmuje, jęków zaś ani wydaje, ani słyszy.

Również błądzą ci pisarze, którzy używają w pismach ludowych wyrażeń prowincjonalnych. Trzeba pisać popularnie, ale nie trywialnie. Lud tej trywialności nie lubi i obraża się nią myśląc, że to przedrzeźnianie jego mowy i wymowy. Jasność, lapidarność stylu w połączeniu z pewną ozdobnością — a wszystko to przesiąknięte prostotą, trafi ludowi do smaku i przekonania.

Pisma ludowe powinne być ilustrowane i zalecać się powabną powierzchownością. Ilustracja ułatwia zrozumienie myśli moralnej i zapisuje ją w pamięci czytelnika, a kształci zmysł estetyczny. Lecz ilustracje powinne być ze wszechmiar wzorowe. Pismo ludowe powinno u ludu budzić uszanowanie dla siebie, a wzbudza je nietylko powagą i trafnością treści, ale i pięknością formy.

Często słyszeć można narzekania, że lud niechętnie przyjmuje podawane sobie do czytania pisma. Niedziwota! Lud nasz, jest niedowierzający, bo zdradzany i ciemny. Rozbudzane w nim niechęci do inteligencji, podniecają ową niewiarę. Ludowi nie trzeba d a w a ć, lecz p o d d a w a ć, nie n a r z u c a ć, lecz p o d s u w a ć książkę i pismo. Rozmaite służą po temu środki, o czem później pomówimy.

SERCE I RĘKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nic łatwiejszego jak wśród tych ślicznych ustroni szwajcarskich znaleźć dach co czeka gości... i gotów szczęście lub boleść przytulić. Tegoż dnia około południa, o godzinę drogi od Genewy, nastręczyło im się czego szukali. Płynąc postrzegli na pochyłości wzgórza zielonego, wśród małego parku ocienionego odwiecznemi drzewy, domek z zielonemi zamkniętemi okienicami, na którego ścianie i na pobliskim murze, ogromne napisy świadczyły iż był — A v e n d r e o u a l o u e r. Dom niezbyt świeży i nie piękny, całego uroku pożyczał od krajobrazu i otaczających drzew. Może nie jedno chwilowe szczęście słało tu gniazdo i nie jedna śmierć wyszła zamkniętemi drzwiami temi. Teraz zdawało się, że tu nikt już nie mieszkał od dawna, ścieżki dawniej starannie utrzymane ponachylana trawa na pół przykrywała, mury były nieco pozbijane i od deszczów zczerniałe, mały wodotrysk przed willą wysechł i kamienne jego okładziny się porozpadały... Drzewa rosły dziko, odpuszczając w koło siebie latorośle rozpierzchłe po trawnikach. A jednak wdzięcznie tu było i z okien widok na jezioro, na parki, na lasy... a cisza do koła czyniły ustronie to dla tych co szukali spokoju — miłem....

Kazano łódce przybić do brzegu, poszli ku furtce zamkniętej, przy której zardzewiały drut dzwonka znaleźli. Nie rychło jednak wyszła dziewczeczka bosa, napół ubrana,

trochę wylękła, naprzód przyglądała się im przez szpary, potem gdy zobaczyła obcych... nazad uciekła. Ale w chwilę nadeszła starsza kobieta z pękiem kluczów u pasa, jakoś nadąsana a niechętna. Widać było z jej twarzy żółtej, posępnej iż nie wiele miała ufności w to, aby odwiedziny na co się przydały. Gdy jej powiedział Bratanek że pragnęliby obejrzeć domek i nająć może — pokiwała głową niedowierzająco.... Nie powiedziała nic, wprowadziła ich jednak, zarosłą ścieżką podnoszącą się do góry ku domkowi.

Im się bardziej zbliżali, tem się w istocie więcej opuszczonym wydawał. Wewnątrz schludnie było, ale pusto, ale smutno i wiele należało dodać, przerobić, aby willa stała się mieszkalną. Cena nie była wysoką... zgodzono się o nią. Bratanek podjął się sprowadzić rzemieślników... i przez jutro stworzyć tu mieszkanie. Olimpja widziała w nim przypomnienie chatki czeskiej — i młodość i ciszę i ukrycie.... Następne dni tu przebywali. Bratanek się przeniósł zupełnie, Olimpja uciekała z miasta i przesiadywała dni całe—strzegąc się tylko zawsze jedną brać łódkę, aby się nie zdradzić. W kilka dni villa Serena (tak się zwała) stała się z owej dzikiej do niepoznania piękną i uroczą.... Ogrodnik wyświeżył park... rzemieślnicy ubrali domek, pomalowano ściany, naprawiono wodotrysk... każdego dnia jedno z nich tu coś przynosiło, aby gniazdko przystroić. Olimpja kupiła fortepian — wazonami ostawiono ganki, i życie wstąpiło w ten martwy niedawno złomek, który już się chylił ku ruinie.

Z niepokojem o jutro, ale pewni iż zwyciężyć muszą cokolwiek im na drodze stanie, kradli tu dni szczęścia nie śmiejąc mówić jeszcze o zapewnieniu go sobie.... Olimpja z pogardą zawsze odzywała się o Zygmuncie. Choroba jego i przyjazd szambelana, nadewszystko — zamącił te dni złote... czuła ona że stanowcza chwila się zbliża...

Po pierwszym wieczorze ojciec Zygmunta rozważywszy dobrze położenie swoje i jego, rozmyślając jakby wyjść można z tego zawikłania, przyszedł do przekonania że układy jakieś zrywające małżeństwo byłyby zawsze najnieszczęśliwszemi dla nich. Trzeba było Zygmunta utrzymać na stanowisku męża — bądź co bądź. Zrazu wprawdzie przypuszczał że się to może skończyć indemnizacją — noc i długie a mozolne rozpamiętywanie o położeniu ich obu w obywatelstwie — przekonały go że lepiej znosić nie koniecznie przykładne postępowanie żony, niż pójść zapłaconym precz i to jeszcze w kilka tygodni po ślubie.

Z kilku słów Klary wnosił, iż tu mu pewnie będą stręczyć układy, — może nawet bardzo korzystne — lecz — Olimpja nie było panią majątku, matka i ojciec z pewnością popierać muszą Zygmunta. Zatem, rzekł sobie szambelan — trzeba wszystko, otwarcie napisać matce — niech ona przyjedzie, naówczas — zobaczymy.

To postanowienie powziąwszy w nocy, szambelan, który, jak sam o sobie zwykł był mawiać, miał pióro złote, siadł stylizować pismo w tej delikatnej materji. Popijał herbatę winem, pocił się, męczył, pisał bruljony... styl wygładzał... formy chciał mieć piękne, dystyngowane... pigułkę złocił i brylantował. List na trzech półarkuszkach był nie do zniesienia długi, napuszony, nudny, a że gorycz go przesiąkła z końca w koniec, mógł ubić wrażeniem jakie niósł z sobą. Szambelanowi głównie szło o to, aby w tym liście znać było człowieka co się na dyplomatę rodził i arystokratyczne miał stylu formy.... Całą niemal noc przepędził nad układaniem, przepisywaniem, odczytywaniem... i aż nadedniem położywszy pięć pieczęci, usnął znużony. List ten postanowił sam oddać na pocztę, nic o nim nikomu nie wspominać, a jeśliby go ciągniono do jakichś układów, zwlekać tak by matka, o czem nie wątpił, przybyć mogła.

Nie był więc natarczywy wcale, część dnia spędził u łóżka syna, który się zaczynał mieć lepiej, krótką chwilę przebył u Olimpji unikając z nią rozmowy drażliwej, a gdy Klara zaprosiła go do siebie, usiłując wyciągnąć na pomówienie otwarte, wytłumaczył się niemożnością zajęcia czemkolwiek bądź, dopóki by o zdrowiu ukochanego dziecięcia się nie upewnił.

Klara zrozumiała w tem podstęp jakiś lub drożenie się, ale nalegać nie było podobna.... Zupełnie swobodna Olimpja wymykała się gdy chciała do willi Serena, przesiadywała tam, i zdawała spokojnie patrzeć w przyszłość. Przeciwnie hrabina wmięszana w tę sprawę, która ją jak romans zajmowała i o której rozwiązanie bardzo była troskliwą — wpadała na różne domysły i niepokoiła się. Ale z szambelana coś dobyć bardzo było trudno. Próbowała starego trochę bałamucić — pochlebiło mu to, ale się nie dał... grzecznościami wypłacił się sowicie — nie wydał z niczem. Co najwięcej— ubolewał nad tem że Zygmuntowi tak się w progu nowego życia nie szczęściło....

Okoliczność drobna naprowadziła Klarę na odkrycie rachuby szambelana.

Pisząc list do matki Olimpji i oddając go na pocztę, szambelan zabezpieczył się rewersem, który obok zawsze przepełnionego mnóstwem notatek pugilaresu schował do kieszeni. Trzeciego dnia chcąc hrabinie pokazać wypis jakiś z gazety, dobywał tego pugilaresu, kartka wypadła na ziemię. Klara widząc ją nie ostrzegła go, została więc pod krzesłem. Po wyjściu barona, podniosła ją hrabina, wyczytała w niej dowód, że list wyszedł do matki Olimpji i przestraszyła się niezmiernie. Pobiegła z tym rewersem do niej. Olimpja tylko co powróciwszy z Sereny, siedziała otulona słodkiemi wspomnieniami na kanapie, gdy Klara kręcić się około niej zaczęła.

— Wszystko to bardzo heroiczne i piękne, że ty tak nie myśląc o jutrze, z odwagą patrzysz w przyszłość i niczem nie dajesz się strwożyć — żeś cała utonęła w twem szczęściu — ale, moja Olimpjo.... gdy Zygmunt wyzdrowieje, gdy szambelan się rozpatrzy, (jego, między nami mówiąc, za niebezpieczniejszego mam od syna) gdy przyjdzie do czegoś stanowczego... powiedz mi... cóż będzie? co będzie?

— A! co Bóg da! obojętnie odpowiedziała Olimpja, ja to tylko wiem że mnie nic od niego nie oddzieli.

— Musisz się więc przygotować na wszystko — powtórzyła Klara z przyciskiem — nawet na — przybycie matki, bo ci ludzie nie czując się na siłach do walczenia z tobą — gotowi są ją tu wezwać.

Olimpja zmarszczyła brwi.

— Przykro by mi to było — rzekła — ale matka — matka mniej niż ojciec mi jest straszna... o! tego starego mi żal. Jemu się serce zakrwawi — on nie wie nic — on marzy o szczęściu może.... Gdy wspomnę nań — to mi wszystko zatruwa.... W ostateczności — wyznam przed nim, powiem, odkryję... wolę by mię widział słabą niż płochą.

— A przyjazd matki? wrzuciła Klara.

— Zkądże ci to na myśl przychodzi?

— Mam pewne poszlaki na szambelana, że na ten posiłek rachuje....

— Ztąd? spytała Olimpja.

Klara dobyła rewers pocztowy i pokazała go jej.

— Dziękuję ci — spokojnie odezwała się Olimpja — to dobrze — muszę więc być i będę gotową....

Przeszła się parę razy po pokoju i milcząc ucałowała Klarę. Zdawała się namyślać.... Nie mówiły już więcej z sobą.... Olimpja tylko pilnie się przypatrzyła dacie rewersu i obliczała dni upłynione.... Wieczorem spotkały się znowu.

Szambelan spokojniejszy o syna, a wielce baczny aby o indiferentyzm posądzonym nie był, poszedł tego wieczora z uszanowaniem do ks. Mermillod. Były więc same. Na twarzy Olimpji znać było jakąś walkę. Nareszcie uściskała Klarę i siadła przy niej.

— Droga moja towarzyszko doli i niedoli — co ty z sobą myślisz?

— Jakto? cóż za pytanie? chcesz się mnie pozbyć.

— Nie rozumiesz mnie... może ci tylko chcę oszczędzić przykrości gdyby — gdyby przybyć miała moja matka, nie wiem jak się rzeczy obrócą... dodała ciszej — boję się byś nie cierpiała, bym za twe serce nie wypłaciła — przykrością.

Klara ruszyła ramionami niecierpliwie.

— Mów bo otwarcie.

— A! jak najszczerzej — jeśli ja zmuszoną będę uczynić jaki coup de tete (coby mogło) posądzą cię o wspólnictwo... chciałabym ci tego oszczędzić.

— Nie jestem że ci w niczem potrzebną? zapytała Klara...

— Zawsze.... ale nie lubię ofiar wyciągać dla siebie. Jedną bym tylko miała prośbę i najnieprzyzwoitszą, przewiduję potrzebę — pieniędzy, mam ich nie wiele. Główna kasa była naturalnie przy panu Zygmuncie, który tym sposobem spodziewał się mnie trzymać w zależności, mogę być w końcu w takim wypadku.

Klara nie dała jej dokończyć.

— Wiele potrzebujesz? spytała — dam ci ile mogę.

— Daj mi jak możesz najwięcej, śmiejąc się smutnie szepnęła Olimpja, a potem uciekaj. Jak i kiedy ci oddam, nie wiem, ale że zapłacę — to pewna... nawet gdybym umarła.... Dam list do ojca....

Nie pytając już wcale na co Olimpja mogła potrzebować pieniędzy, Klara nara-

dział się tylko o sumę i zatelegrafowała do swego pełnomocnika w Poznaniu o nią, polecając mu aby list kredytowy niezwłocznie wyprawił, nie zważając za jaką cenę dostanie pożyczkę. Olimpja starannie obrachowała jakoś dni, kiedy odpowiedź przyjść może i znowu zajrzała do rewersu pocztowego. Nie mogła z niej jednak dobyć Klara nic więcej nad wyrazy serdecznej wdzięczności.

Następnych dni Zygmunt już miał się coraz lepiej. Ojciec przesiadywał przy nim, ale unikał rozmowy i bawił go rzeczami obojętnemi. Konwalescencja w młodych latach, przy siłach, zwykle bywa szybką... a choć na duszy Zygmunta brzemię wielkie ciężyło, natura wracała mu moc do podźwignięcia go. Ojciec ani o odebranym liście, ani o niczem nie mówił, od niechcenia tylko wspominał czasem że widział Olimpję, że z nią rozmawiał itp. Doktor jeszcze zalecał jak największy spokój w obawie recydywy. Dni więc płynęły jednostajnie i dosyć nudnie. Szambelan tylko wycieczki czynił do miasta, i nie mówiąc nikomu bywał na teatrze, szukał roztargnienia. Stary nie zobojętniał jeszcze całkiem ku temu co zwykle tylko młodych kusi i pociąga.

Liczył on także dni i zaglądał do kalendarza.... Po długiem oczekiwaniu odebrał wreszcie list od matki Olimpji. Nakreślony szybko na ćwiartce papieru porwanej ze stołu, zawierał on tylko oznajmienie, iż przygotowawszy męża, i podróż nagłą postarawszy się w jego oczach usprawiedliwić, aby nie budziła podejrzeń — natychmiast przyjedzie. Przygotowania wymagały wszakże dni kilka.

Szambelan spodziewał się większego pospiechu... list go trochę zniecierpliwił —lecz — cóż począć było? Musiał czekać. Daleko lepiej dał sobie rady plenipotent hrabinej, który żądaną kredytywę wyprawił tak szybko że przyszła prędzej niż się jej spodziewano. Klara odebrała zaraz pieniądze i zaniosła je przyjaciółce....

— Teraz — rzekła — o nic nie pytam — jadę....

— Kiedy?

— Jutro....

— Uczyń że to ostentacyjnie — głośno, oznajm szambelanowi.

— Wcześnie mu to już zapowiedziałam.

— A cóż?

— Ubolewa.... Może być iż rachował że mu się tu przydam na co....

Wieczorem dwie przyjaciółki po cichu gwarzyły długo — Klara była w najdoskonalszym humorze.... Jechała do Włoch... Obrachowywała tylko gdzieby towarzystwo stosowne dla siebie znaleźć mogła.

— Widzisz moja droga Olimpko, mówiła żartobliwie, ty co masz serce pełne, cel w życiu — możesz jechać gdzie ci się podoba... nigdzie ci nie będzie pusto. Ja muszę szukać ludzi, roztargnienia, a że doprawdy starzeję, potrzebuję póki mogę bałamucić — głowy zawracać i grać tę komedję miłości która dla nas jest komedją życia...

— A! często tragedją, moja droga.

— Dramatem lub farsą — c'est selon mniejsza o to, dosyć że trzeba aby się serce w piersiach czuło. Pojadę więc gdzie najliczniejsze towarzystwo i najwięcej ruchu....

Nazajutrz w istocie, przeprowadzona aż do powozu przez szambelana, hrabina Klara, śmiejąc się i płacząc, wracając i spiesząc, zapominając węzełków, gubiąc chustki, żegnana przez całą służbę hotelową, która ją lubiła (oprócz nieszczęśliwej Szarloty) — Klara wyruszyła z Genewy.

Po jej odjeździe, szambelanowi zabrakło zajęcia na jedną przynajmniej w dniu godzinę, którą u niej spędzał przyjemnie. U Olimpji bywał ceremonjalnie parę razy na dzień, lecz jej często nie zastawał. Rozmowa też nie szła. Szambelan próżno się popisywał z dowcipem po ojcu odziedziczonym i pochwytanym w salonach — ją to jakoś ani zajmowało ani bawiło.... Dawała mu mówić, patrzała w okno, można ją nawet posądzić było że go nie słuchała wcale i myślała o czem innem.

We cztery dni po wyjeździe hrabinej Klary, gdy Zygmunt już po pokoju się przechadzał, a szambelan co chwila oczekiwał przybycia Radczyni przyobiecanego — rano o godzinie jedenastej przyszedł wedle zwyczaju zapukać do drzwi Olimpji, które mu zwykle otwierała Szafrańska, nie racząc odpowiadać na jego bardzo słodkie — dzień dobry. Tym razem pukał i pukał — nie otworzono mu wcale. Szambelan nie chcąc być natrętnym odszedł ale zgorszony.... Czekał godziny poobiedniej, o której powtórnie odwiedzał synowę i skwapliwie udał się do jej mieszkania. Na pukanie odpowiedział mu głos jakiś dziwny ze środka.... Szambelan otworzył i ujrzał... ogromnego Anglika w szlafroku i pantoflach leżącego w fotelu z nogami na stole, który dobywszy lornetkę przypatrywał mu się ciekawie!

Wprawiło go to w osłupienie, tak że ani naprzód się nie posuwając, ani cofając pozostał wryty w progu. Anglik nie lubiący cugu,—a może mu się też szambelańska fizjognomja nie podobała, zaczął się pyrzeć, krzyczeć, bić w stół nogami i już miał lecieć w obronie swego hotelowego home z pięściami, gdy szambelan ucieczką się ratował.... Sądził z razu że się o numer omylił... ale przekonał się że nie.... Zatem Olimpja musiała niewygodne to zmienić mieszkanie nic mu nie powiedziawszy. Zszedł nieukontentowany na dół do rządzcy hotelu.

Rządzca miał antypatję do szambelana, który go z wysokości swej gwiazdy traktował, jako rzeczywisty radzca stanu, czego szwajcar nie chciał rozumieć — nie wstał więc nawet, widząc go wchodzącego.

— Dokąd się przeniosła ta pani z pod Nr. 25? pani baronowa Dobińska?

— Hę? odparł szwajcar przewracając ogromną księgę leżącą przed nim. Baronowa Dobińska?... baronowa wyjechała wczoraj jeszcze....

Szambelan zbladł.

— Dokąd? zawołał przyskakując.

— A co to do mnie należy? zimno i szydersko rzekł rządzca.

Nie śmiejąc pytać o więcej — baron zmięszany widocznie, nie chcąc dać poznać jak go to obeszło, skinął tylko głową i odszedł....

W istocie na chwilę postradał całą umysłu przytomność — w sieniach stanął... myślał i powtarzał sam do siebie: Odjechała! odjechała!

Zygmuntowi w tym stanie zdrowia w jakim się znajdował, niepodobna było nawet o tem powiedzieć. Ojciec mimo mocy nad sobą, nie był pewien czy potrafi ukryć wrażenie. Widząc że oczy sług szydersko się na niego zwracają, zwolna poszedł do mieszkania.

Ostateczności tej nie przewidywał wcale, tem bardziej że człek oględny ułożył tak sprawy domowe jeszcze przed odjazdem, ażeby kasa została przy Zygmuncie. Zapewniało to od podobnej, nigdy wszakże nie przypuszczalnej katastrofy. Jakże więc mogła Olimpja uciec i uciec nie dawszy nawet znaku życia?? Przyjazd matki stawał się teraz — bezpotrzebnym, gorzej, zawadnym i nie miłym....

Mylił się tylko baron sądząc, że Olimpja odjeżdżając nie dała znaku życia, tegoż bowiem wieczora przyniesiono mu rachunek wydatków ogromny, na którym dopisała że go baron Zygmunt opłaci.

Szambelan znajdował się w najwyższym stopniu nie delikatnym.... Zygmuntowi naturalnie nic nie powiedział, ale smutek ogarnął go wielki. Co tu było począć? gdzie szukać? jak? Poszukiwanie mogło rzecz, którą on rad był utaić uczynić nazbyt głośną, a szambelan karmił jeszcze nadzieję że się to da jakoś ułożyć ocalając honor familji. Dla zatarcia śladów tej historji należało co rychlej im także z Genewy uchodzić, na co stan zdrowia Zygmunta nie dozwalał.

Był więc pan szambelan ze wszech miar w położeniu najkrytyczniejszem i można by go żałować, gdyby tak bardzo na nie sam nie zasłużył.... (C. d. n.)

PRZYCZYNKI

do

ZNAJOMOŚCI TATR.

Podał

Dr. E. Janota.

Kiedy urodzajne równiny nasze są niejako prozą natury, są góry nasze jej poezją.
W. Pol, Obrazy z życia i natury. 2, 301.

Od wewnętrznego usposobienia człowieka zawisło wrażenie, które od natury odbiera. Tamże 1, 277.

Liebe die Natur, die, treu und wahr,
ringt nach Licht und Freiheit immerdar.
Lenau.

Każdemu nieco obeznanemu z literaturą Tatr i Podtatrza czyli Podhala znanem jest imię Tomasza Mauksсha, ewanjelickiego plebana w Wielkim Sławkowie[1], zmarłego 1832 r. w 82 roku życia. Pozostałe po nim rękopisy, zawierające niejeden zajmujący szczegół o Tatrach, dostały się do zbiorów Akademji węgierskiej. Z nich C. K. udzielił wychodzącemu w Lewoczy, lecz u nas zupełnie nieznanemu Tygodnikowi „Zipser Anzeiger, 1865,“ kilka wyjątków, które jako przyczynek do znajomości Tatr, dodawszy nieco własnych uwag, tutaj powtarzam.

Między drapieżnemi zwierzętami Tatr a Karpat w ogólności, pierwsze miejsce zajmuje oczywiście niedźwiedź. Podhalanie rozróżniają dwie odmiany[2]. Niedźwiedź pospolitszą tworzący

[1] Gross-Schlagendorf.

[2] W Szwajcarji trzy rozróżniają odmiany niedźwiedzia górskiego, t. j. wielkiego czarnego, wielkiego szarego i małego brunatnego. Dr. Fried. v. Tschudi Das Thierleben der Alpenwelt. Leipzig, 1868. 370.

*

odmianę jest mniejszy, pysk ma krótki, włos barwy brudnej żółto-brunatnej. Rzadziej napotyka się niedźwiedź odmiany drugiej. Jest on większy od poprzedzającego, czasem znaczyych rozmiarów, pysk ma dłuższy, przypominający głowę świnią, włos czarno-brunatny, na końcach szarawy. Jest on niebezpieczny dla bydła pasącego się w halach i u stóp Tatr. Mauksch widział okaz 9 stóp długi i inny jeszcze większy zabity w obrębie Kiezmarszczyzny. Piękny okaz przechowujący się w muzeum zoologicznem uniwersytetu krakowskiego należy do tej odmiany.

Niedźwiedzie zamieszkujący takie okolice Tatr, dokąd nie zachodzi bydło, żywią się roślinami, np. goryczką, podbiałami[1] i tp., są bojaźliwe, unikają człowieka i nie napastują bydła pasącego się, dopóki nie skosztują mięsa, od tego czasu bowiem stają się śmielszemi i napadają tak pojedyńczo jako też gromadnie pasące sie bydło. Wprawdzie nie zawsze udaje się im napad, szczególnie gdy nie przewodniczy doświadczony stary niedźwiedź, woły[2] bowiem zbijają się w kupę i bronią dzielnie rogami, tak że niedźwiedziowi rzadko kiedy uda się pokaleczyć którego z nich. Skoro jeden z nich niezwykłem ryczeniem ostrzeże stado o spostrzeżonem niebezpieczeństwie, towarzysze jego w szalony wpadają gniew, i chociaż niebezpieczeństwo minie, nie zaraz uspakajają się. Raz podczas takiego napadu pastuch wyszedł z nocnej kryjówki swojej, a że miał na sobie kożuch barani ciemny, kudłami na wierzch wywrócony, wół rzucił się ku niemu i tak go przycisnął do drzewa, że pastuch w największem znajdował się niebezpieczeństwie, i rozjuszony wół ustąpił dopiero, gdy pana swego poznał po głosie a może i węchem od niedźwiedzia odróżnił. Gdy w pobliżu pastwiska pokażą się niedźwiedzie, pasterze na noc stado trzymają w kupie przy ogniu, aby wół osobno i na uboczu stojący nie stał się łupem napastnika, który stanąwszy na tylnych nogach, przedniemi zaczepia i ofiarę swoję na ziemię powalić usiłuje, poczem mu krew wysysa. Mięsa zjada niedźwiedź tyle, ile na raz zdoła, resztę ukrywa, jeżeli mu się w tem nie przeszkodzi. W lesistych górach śmiżańskich[3] niedźwiedź zabił raz konia i nad miarę się objadł; mimo to wziął kęs koniny i chciał z nią po smreku przejść przez Białę[4], lecz spadł tak nieszczęśliwie na wznak między dwa odłamy skały, że się nie mógł wydobyć i życie postradał.

Krowy zamykają pasterze na noc do stajenek, owiec pilnują w koszarach psy i juhasy; najgorzej koniom, jeżeli pojedynczo lub w dwoje i troje pasą się gdzie w lesie lub na polanie, skąd ich najczęściej na noc nie spędzają. Gdy w r. 1861 przez cztery dni bawiłem w górnej części doliny chochołowskiej, nocując w szopach pod Czołem chochołowskiem, w pobliżu sałaszu jednej nocy niedźwiedź zabił konia, a w trzecią noc pokaleczył mocno drugiego, podrapawszy go po grzbiecie i tyle[5].

Niedźwiedź nie mając strawy zwierzęcej, ucieka się do roślinnej, z którą radzi sobie jako tako w lecie i w jesieni, jedząc maliny, borówki, grzyby, później jarzębinę i owoce mukini[6]. Dopóki owies nie sprzątnięty z polan, odwiedza go także, siada na zagonie, i łapami przedniemi zbiera owies prawie z całego zagonu. Lubi on przedewszystkiem owies młody niedośpiały, z miękkiem, mlecznem ziarnem. Tak jeżdżąc po zagonach z jednego końca na drugi, góralom czasem dosyć narobi szkody. Nie gardzi także kminem, którym w zachodnich Beskidach leśniczowie czasem zasiewają zręby. Gdy w czasie wakacyj 1864 r. szedłem na Romankę (1365·85 m., za Żywcem naprzeciw Pilska, 1553·79 m.), leśny przyszedł z doniesieniem do leśniczego, że niedźwiedź rano był w kminie. Najgorzej biedakowi na wiosnę, która i dla niego jest przednowkiem. Z ziemi zmarzniętej i śniegiem zasypanej nie wydrapie najmniejszego korzonka; szuka więc mrowisk i zjada ich mieszkańców, rozwala stare, zbutwiałe pnie i powalone drzewa, zjadając, co jeno jadalnego w nich znajdzie. W maju już mu lepiej, jeżeli to rok chrabąszczowy. Jednego takiego roku widziano dwa młode niedźwiedzie na brzozach i modrzewiach w lesie niedaleko Szczaw sławkowskich[7], obierające starannie chrabąszcze.

Dawniejszemi czasy, gdy niedźwiedziów w lasach podtatrzańskich było wiele, tępiono je rozmaitemi sposobami, zabijano samostrzałami[8], chwytano w doły i żelaza. Polowanie na nie w Tatrach jest trudne dla niedostępności miejsc, w których się ukrywają, gdzie i psom bieda dójść. Na górnych kończynach dolin ukrywają się w kosodrzewinie. Najwięcej niedźwiedziów zginęło w Tatrach od kłusowników. Jak odważnymi są ci ludzie, na to Mauksch kilka przytacza przykładów.

Gdy Mauksch jednego roku z kilku gośćmi zwiedzał Łomnicę, w dolinie Małej Zimnej Wody[9] spotkali niedźwiedzia. Towarzyszący, im kłusownicy, spostrzegłszy go, zaczaili się na niego w kosodrzewinie; Mauksch z gośćmi swymi stał nad potokiem, poglądając w górę. Tam zobaczyli niedźwiedzia, stojącego na tylnych nogach i przypatrującego się im. Gdy atoli ani się ruszyli, niedźwiedź poszedł w bok do kosodrzewiny, właśnie w tę stronę, w której się kłusownicy byli zaczaili. Po pierwszym strzale niedźwiedź zraniony okazał się poniżej nad potokiem i przebrnął przezeń, zataczając się jednak, z czego wnoszono, że go mocno poraniono. Gdy wychodził na brzeg, druga kula ugodziła go w łopatkę; niedźwiedź zwrócił głowę ku miejscu zranionemu, wyszczerzył zęby i poszedł dalej do kosodrzewiny. Dwóch kłusowników poskoczyło za nim przez wodę i wnet dał się słyszeć trzeci strzał, który, jak się później pokazało, niedźwiedziowi czaszkę roztrzaskał. Należał on do mniejszej brunatno-żółtej odmiany; w żołądku nie znaleziono nic prócz zżutych korzeni. Dlatego też nie okazywał owej zaciętej odwagi, z jaką bronią się niedźwiedzie żyjące mięsem.

Inny kłusownik z Nowej Leśni[1] posłał Maukschowi kęs niedźwiedziny, a później zapytany o tego niedźwiedzia opowiedział, że mu owies w polu niszczył, że się sam jeden na niego zasadził, że go na dziesięć kroków przypuścił do siebie, prócz strzelby pojedynki nie mając żadnej innej broni, i że się dopiero zląkł, gdy ugodzony niedźwiedź z rykiem runął na ziemię.

Atoli ta pozorna odwaga i zimna krew najczęściej nie są niczem innem jak bezmyślną zuchwałością, jak to z następującego widać zdarzenia. Raz w zimie poszedł Nowoleśnianin samowtór do doliny Wielkiej Zimnej Wody dla odwiedzenia dziury[2], w której przebywały niedźwiedzie. Całą ich bronią była ostra ciupaga[3]. Przyszedłszy ku dziurze, położonej tuż ponad stromem, głębokim śniegiem okrytem usypiskiem[4], zapalili przed wnijściem do niej ogień, usiłując dym wpędzić do jaskini, podczas gdy jeden z nich stał przed otworem z podniesioną do góry ciupagą, gotowy do uderzenia, gdyby się niedźwiedź okazał. Jakoż udało się im niepokojeniem swojem zmusić go do wyjścia. Lecz czatujący u wnijścia kłusownik pośpieszył się zbytecznie z uderzeniem i zamiast w głowę ciął niedźwiedzia w nos poniżej oczu. Niedźwiedź cofnął się natychmiast i żadnym sposobem nie dał się nakłonić do powtórnego wyjścia. Więc jeden z kłusowników uciąwszy drążek, wlazł do jaskini, aby szturkańcami zadawanemi zranionemu zwierzowi zmusić go do wyjścia, podczas gdy towarzysz jego, rozkroczywszy się przed dziurą, zwrócony ku niej z podniesioną do góry ciupagą czekał na niedźwiedzia. Ten bezustannemi szturkańcami rozjuszony, wypadł wreszcie z dziury, wbiegł prosto między nogi stojącego przed dziurą kłusownika i porwawszy go z sobą, stoczył się wraz z nim do doliny. Głęboki śnieg nie dozwolił chłopom puścić się za niedźwiedziem i tak z próżnemi rękoma powrócili do domu.

Góral z Jaworzyny[5], jak to sam Maukschowi opowiadał, spotkał raz w lesie niedźwiedzia. Rad byłby go góral ominął, lecz już było zapoźno; niedźwiedź stanąwszy na tylnych nogach, dążył wprost ku chłopu. Ten nie widząc żadnego sposobu do uniknienia niemiłego spotkania się z bliska, z podniesioną siekierą czekał na zbliżającego się przeciwnika, zamierzając silnem cięciem rozpłatać mu głowę. Ale miś miał się na baczności i szybkim zwrotem uniknął cięcia, ponawiając po raz wtóry i trzeci napad swój. Że atoli i chłop nie tracił przytomności, niedźwiedź widząc bezkuteczność swojej zaczepki, zaniechał jej wreszcie i poszedł w las. Ależ i chłop, rad z odejścia niebezpiecznego zapaśnika, najmniejszej nie miał ochoty, pójść za nim.

Gorzej stało się kłusownikowi z Wielkiego Sławkowa, który z początkiem lata udawszy się ku Szczawom sławkowskim, nieopodal w lesie zobaczył dwa młode niedźwiedzie, łażące po drzewach za chrabąszczami. Bez długiego namysłu strzelił do jednego z nich, który ugodzony krzyknął. Kłusownik obejrzał się, a nie widząc

---

[1] *Adenostyles alpina* Döll. *Patasites albus* Gaertn. *Homogyne alpina* Cass.

[2] W Tatrach nowotarskich wołów nie pasają, lecz przeważnie owce i stadka krów, czasem zawadzi się koza i jeden lub kilka koników.

[3] Schmögen.

[4] Belę. Płynie nieopodal Klasztorzyska (*Lapis refugii, Schauberg*), zwalisk klasztoru Kartuzów, założonego 1305 r.; wpada do Hornądu.

[5] W Szwajcarji niedźwiedź na bydło czatuje przy poisku; bardzo rzadko napada krowy, a nigdy z przodu; wskoczywszy im na grzbiet, kaleczy je w kark; kozy zapędza na przepaści lub też w nocy z stajni zabiera; na paszy napadą bydło rogate znienacka we mgle. Rozdarłszy krowę, wyjada naprzód nerkę i wymię, resztę zakopuje lub rozwlecze. Jeżeli go atoli bydło spostrzeże, zbija się w kupę, ryczy i parska i nie spuszcza go z oka, a niedźwiedź nie czyni już napadu. Konie rzadko napada, najczęściej owce. Tschudi 371. 372.

[6] *Sorbus Aria* Crantz.

[7] Schmeks. Szczawy te leżą na gruncie wsi Wielkiego Sławkowa.

[8] Gdy w roku 1864 zwiedziałem Raczą Halę (1233·85 m.), Rycerzową (1205·41 m.), Muńczuł (1165·77 m.) i inne okoliczne wierzchy nad Ujsołami i Rycerką w Beskidach żywieckich, za Rycerzową tuż nad granicą węgierską pokazywano mi na polanie wśród lasu miejsce, na którem właściciel polany zastawiał samostrzały na niedźwiedzie. Mówiono mi także, że w tamecznych lasach niedźwiedzie stałe mają legowiska.

[9] Kleines Kaltbacher Tal, pospolicie w narzeczu Sasów spiskich Koltbacher Tal, z czego powstało Kolbacher Tal. Mylnie piszą Kohlbach.

---

[1] Neu-Walddorf.

[2] Tak u Podhalan zwą się jaskinie.

[3] Lekka siekiera na długiem osadzona toporzysku, służąca tak naszym, jak i węgierskim góralom i Niemcom spiskim do podpierania się a zarazem do rąbania drzewa w razie potrzeby.

[4] Podhalanie nasi takie usypiska piargami zowią.

[5] Kuźnie i piec do wytapiania rudy żelaznej na północnym rąbku Tatr na granicy Nowotarszczyzny.

nic niebezpiecznego ani podejrzanego, chciał zabrać niedźwiedzia, gdy naraz poczuł, że go coś znienacka z tyłu chwyciło. Była to stara niedźwiedzica, która oddając mu piękne za nadobne, zdarła mu wraz z skórą czuprynę z głowy i w rękę go ukąsiła. Że tak czule przywitany kłusownik zemdlał, łatwo przypuścić i pojąć, jakkolwiek kłusownicy są ludzie bez czucia, jak są bez sumienia. Jak długo sobie Słowkowianin leżał bez przytomności, nie wiele na tem zależy. Odzyskawszy ją wreszcie znowu, zaciągnął zerwaną czuprynę na głowę, nakrył ją, nie szukając kapelusza, taistrą czyli torbą[1] i bez niedźwiedzia poszedł do domu. Lecz jakże się przestraszył, gdy żaden z cyrulików szesnastu okolicznych miast spiskich nie chciał się podjąć leczenia go. Oddał się więc w opiekę konowałom ojczystej wsi, a ci wyleczyli go, jak zapewniał, popiołem z pokrzyw.

Jeszcze o jednej wyprawie na niedźwiedzia. Był to niedźwiedź wielki, czarny, a Kiezmarczanom wielkie wyrządzał szkody w bydle. Więc rada miejska, ażeby się go raz pozbyć, nałożyła nagrodę 50 r. w. w. na głowę jego. Nagroda na one czasy nie mała. Znalazło się zatem wnet grono kłusowników, chcących zarobić te pieniądze, a byli to sami Jurgowianie[2]. Zaraz z początkiem lata, gdy w górnej połowie dolin tatrzańskich jeszcze dosyć było śniegu, zabrali się do wytropienia zwierza. Nie był on im obcym, owszem znali go raz dla niepospolitej wielkości jego, potem iż postrzelony w nogę chromał. Zwali go też chromym czyli kulawym. Łatwo im więc było poznać trop jego i odróżnić od innych. Znalazłszy świeży ślad w Koperszadach[3] prowadzący pod szczyt góry Stösschen, przynajęli sobie kilku poganiaczów, którzy z hałasem i krzykiem przez las ku szczytowi pomienionej góry postępować mieli. Oni sami obsadzili szczyt góry, tak że żadna zwierzyna nie mogła niespostrzeżenie przemknąć się przez grzbiet. Zarazem postanowili, nie strzelać do niczego, cokolwiekbądź wyszłoby na nich, krom na jednego niedźwiedzia kulawego. Puścili tedy wilka i lisiątko, aby nie narazić celu polowania. Wreszcie pokazał się oczekiwany niedźwiedź między tak zwanem zielonem skalem i postępował zwolna ku strzelcom. Śmiertelnie od nich poraniony doszedł przecież aż do Białego Stawu[4], gdzie legł. Gdy się strzelcy zbliżyli, zerwał się znowu, darł naokoło ziemię i kamienie, lecz dalej ujść nie mógł.

Do poprzednich zapisków Mauksch dodać mogę jeszcze następujące. W Hrabuszycach[5] powróciły raz wieczorem krowy z paszy bez

[1] Górale nigdy nie wychodzą z domu bez tórbki, jak mawiają, tj. torbki, trzy ćwierci łokcia długiej i tyleż szerokiej, z skóry wyprawionej, często z borsuczej lub świtaczej, z włosem wywróconym na zewnątrz, przewieszonej przez ramię na pasku rzemiennym, a służącej do chowania fajki, tytoniu, skałki, krzesiwa, hubki i tym podobnych drobiazgów.

[2] Jurgów, wieś spiska na północnym stoku Tatr nad Białką.

[3] Na północno-wschodnim krańcu Tatr wznosi się prostopadle do osi głównego ich grzbietu w kierunku od północnego zachodu ku południowemu wschodowi pasmo wapieni z szczytami Kiczorą, Rogową, Muraniem (1879 m.), Hawraniem (1954·96) Starą (2158·20 m.), Szeroką żdżarską (2165·79 m.), Żelaznemi Wrotami (Stirnberg), Takarnią (Drechselhäuschen) i Stösschen (1537·09 m.). Przełęcz pod Kopą (1792·86 m.) łączy to pasmo z głównym grzbietem Tatr. Od niej ciągnie się ku zachodowi do Jaworzyny obszerna dolina Koperszadów tylnych (hintere Kupferschächte), ku południowemu wschodowi zaś dolina Koperschadów bielskich (vordere Kupferschächte).

[4] W dolinie Białej Wody na południe od Koperszadów bielskich.

[5] Kapsdorf.

byka. Z rozkazu wójta z dziesięciu ludzi szukało go przez trzy dni bezskutecznie. Po czternastu dniach znaleźli go wreszcie przypadkowo leśni w głębokiej, ciasnej dolince całkiem ziemią przykrytego, której niedźwiedź na przestrzeni około 100 sążni kwadratowych zajmującej tyle był nadarł, że korzenie rosnącego w tem miejscu lasku smrekowego, już do 50 lat starego, zupełnie z niej były ogołocone[1].

W drugiej połowie lipca 1865 r. pod Olcnawą[2] niedźwiedzica z dwoma młodemi przepłynęła przez Hornad, zmierzając ku laskowi przeciętemu drogą welbachsko-hruszowską. Chłopi olcnawscy spostrzegłszy niedźwiedzie, odcięli im odwrót, a strzelcy przybyli z Włach[3] zabili jedno młode. Matka zraniona uszła z drugiem młodem[4].

Powyżej Stoli[5], małej wioski na północno-zachodnim Spiżu z zwaliskami opactwa benedyktyńskiego z r. 1314, ku północy leży w lesie przy drodze do doliny mięguszowieckiej[6] leśniczówka Haj (Gaj), a jeszcze bliżej Tatr lesisty grzbiet Kobularkami zwany (1470·72 m.). Spuściwszy się stąd do doliny zasłanej złomami głazów, między któremi szumi odpływ Stawu Popradowego, ma się po prawej ręce strome ściany skaliste, u wierzchu i u dołu pokryte lasem świerkowym. Tu i owdzie rośnie najozdobniejsze drzewo Tatr, limba[7]. Niemal w połowie tych ścian jest jaskiniowate zagłębienie, które przed kilkunastu latmi niedźwiedzica z dwoma młodemi obrała sobie na zimowisko. Wyśledzili ją Stolanie. Kilku zajęło przesmyki powyżej ścian, a trzech udało się wprost z doliny ku dziurze. Głęboki śnieg ułatwił im wejście. Niedźwiedzie poczuły zbliżające się niebezpieczeństwo i gdy strzelcy o jakie sto kroków byli oddaleni, wypadły tak nagle, że niedźwiedzica stoczywszy się po stromej i do tego jeszcze cienką warstewką lodu pokrytej ścianie na dół i uderzywszy tutaj o drzewo, krzyże sobie złamała. Przybiegli strzelcy i dobili ją. Młode niedźwiedzie uszły[8].

W szpitalu w Nitrze umarła 12 kwietnia 1859 Ilona N., która około roku 1818 jako trzechletnie dziecko gdzieś zginęła i dopiero niemal po piętnastu latach (1833) znalezioną została w towarzystwie postrzelonego i przed jaskinią swoją umierającego niedźwiedzia. Władze umysłowe nie były u niej wcale rozwinięte, a późniejsze ludzkie obejście się z nią w szpitalu doprowadziło ją zaledwo do naśladowania drobnych czynności domowych i do wymawiania kilku mało komu zrozumiałych wyrazów. Tańczeniem i mruczącym śpiewem do końca życia przypominała dawniejszy pobyt swój między niedźwiedziami[9].

(C. d. n.)

---

[1] Verhandlungen des Vereins für Naturkunde zu Presburg. 1857. 21—26.

[2] Olzenau.

[3] Wallendorf.

[4] Zipser Anzeiger. 1865. 119.

[5] 850·26 m. n. p. m. Podhalanie nasi zwą to miejsce Cwołą.

[6] Mięguszowce, Mengsdorf.

[7] Wyraz przyswojony z mowy Sasów spiskich. W średniowiecznej niemczyźnie *limboum linboum*. boum.

[8] Friedr. Fuchs, Die Central-Karpathen. Pest, 1863. 226.

[9] Verhandlungen des Vereins für Naturkunde zu Presburg. 1859. Sitzungsber. 70.

FRANCJA DZISIEJSZA

POD WZGLĘDEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Rzecz dla „Tygodnia" napisana

przez

L. PICARD'A.

(Ciąg dalszy.)

VI.

TEATR.

Francuzi są, jak Rzymianie, słynni ze swego zamiłowania w widowiskach. *Panem et circenses.* W Paryżu za ostatniego cesarstwa zdwoiła się ilość teatrów. Od czego rozpoczęto odbudowywanie miasta z dymiących jeszcze zwalisk po wojnie i komunie? od sal dla widowisk. Teatr *Porte St. Martin* po spaleniu został odbudowany w kilka miesięcy. Tuż obok znajdował się plac opróżniony przez pożar, co tam wzniesiono? Świeżą i piękną salę *La Renaissance.* Przed kilku miesiącami pożar pochłonął starą operę przy ulicy Lepelletier. Straszliwa katastrofa! Paryż bez opery — to świat bez słońca. Więc chociaż w budżecie niemasz równowagi, znaleziono jednak fundusze dla przyśpieszenia robót przy budowie Nowej Opery, która jest cudem przepychu i bogactwa. Podczas oblężenia Paryża teatra zaledwie zgodziły się na zamknięcie. Niektóre z nich pozostały otwartemi, lecz przybrały charakter według okoliczności. W Operze łączono „Marsyljankę" i *Chant du départ* z ustępami wyjętemi z repertoaru. Na innych scenach deklamowano wiersze Wiktora Hugo, wyjęte z *Chatiments.* Na niektórych przedmieściach, w małych salach, zwanych *café-concerts,* żartobliwe śpiewy wykonywano wraz z patrjotycznemi. Wszystko to wydawało się Paryżanom tak niezbędnem jak czarny chleb. Za komuny, podczas gdy Wersal bombardował Pola Elizejskie i Łuk tryumfalny, teatr Gymnase odegrywał najwybrańsze swe sztuki.

Po tych wypadkach sale teatralne, stare i nowe, zapełniają się każdego wieczora. Zdaje się, że wszystkim chodzi o to, by jak najprędzej zapomnieć o chwilach złowrogich i smutnych. Gust przeważający za czasów cesarstwa znowu na jaw występuje. Sztuki skandaliczne, operetki, sztuki czarodziejskie o wielkiej wystawie znowu zapełniają afisze. Przepych wystawy jeszcze bardziej podniósł się. Pod tym względem postąpiliśmy znacznie od czasu jak w wiekach średnich przedstawiano misterje, gdy dwie szpady skrzyżowane na scenie oznaczały bitwę, a człowiek na biało wysmarowany przedstawiał ścianę. Było to w owym czasie, gdy wielki Szekspir był aktorem i autorem. A ów znakomity przedsionek rzymski, w którym przez sto lat odegrywano tragedje Kornela i Rasyna! Dziś zamiłowanie w dekoracjach cuda sprawiło, dzięki artystom jak Rubé, Ciceri, Desplechin i Cambon. Archeologja i erudycja bierze udział w wystawieniu sztuki, jak w malarstwie i literaturze.

Nic zatem nie zmieniło się; był tylko ponury antrakt — wojna.

Wiktoryn Sardou, jeden z ulubionych autorów, próbował odrodzić pamflet teatralny, na podobieństwo Arystofanesa. *Rabagas* miał rozgłos, opłacony po części przez policję. Sardou wyprowadza na scenę adwokata Rabagasa, który kolejno jest spiskowcem i ministrem, knuje spisek w kawiarni, a potem rządzi w pałacu w chwilach swej popularności. Wczoraj nieprzekupny, dziś sam przekupuje. Rola ta ma pretensję do uosobiania republikanina Gambetty i niestałego

Emila Ollivier. Obóz lekkokonnych rojalistów i bonapartystów bardzo wychwalał tę sztukę polityczną, którą prawdziwa publiczność przyjęła ze wstrętem.

Sardou, którego sztuki miały pewne powodzenie w końcu cesarstwa, nie ma żadnego stylu, ale doskonale zna się na efektach scenicznych. Nie bardzo jest oryginalny, gdyż treść swych sztuk zapożycza u innych, ale umie ją zastosować do teraźniejszego gustu. Napisał on dobry dramat „Ojczyzna,“ zaczerpnięty ze starego melodramatu *Le bouregeois de Gand*, napisanego w roku 1839. Umiał jednak z zuchwałego założenia, w którem jest wiele niemoralności i cokolwiek patrjotyzmu, wydobyć wiele doskonałych efektów. Niektóre rzeczy są niezmiernie drażliwe; scena buntu w ratuszu przepyszna. Zresztą sztuka ta przyjęta była z uniesieniem w czasach, kiedy namiętnie podchwytywano wszelkie alluzje przeciw władzy.

„Serafina“ i „Fernanda,“ dwa dramata Sardou, które miały również powodzenie, wprowadzają widza pomiędzy mieszczaństwo lichego rodzaju, do *table d' hots*'ów, na kolacyjki w *Maison dorée*, do kąpieli morskich; autor karykaturuje niewierzących i świętoszków. „Fernanda“ wzięta jest z Diderota, jak *Ces bons villageois* z Lesage'a. W tej ostatniej sztuce scenę, w której podłapany kochanek udaje złodzieja, wziął Sardou z Gil Blasa. *Nos intimes* i *La famille Benoiton* są to dwie sztuki prawdziwie *„genre empire“*. Z pobłażliwością roztaczają one obraz wad nowej społeczności, łatwe miłostki, szybkie nabywanie majątków, tracenie ich, potem nowe dorabianie się, przepych i roskosz pozyskane nawet ceną honoru, słowem dawne mieszczańskie społeczeństwo, przemalowane według panującego obecnie smaku. Sardou wystawia wszystkie te niemoralności nie bardzo je karcąc. Zresztą nie myślał on nigdy o nawracaniu kogobądźkolwiek.

Z obozu moralistów jeszcze jeden tylko autor dramatyczny stoi na wyłomie — Oktaw Feuillet. Nikt lepiej od niego nie umie wprowadzić do sztuki maleńkiego kazania. W ostatnim swym dramacie „Julia“ studjował on kobietę, którą natura i wychowanie uczyniły cnotliwą, a którą regulamin jej męża do zguby prowadzi. W „Dalili“ odmalował wielką damę mającą kaprysy don Juana. Oktaw Feuillet jest ulubionym autorem — licznej klasy dam pół-świata, półdewotek, chętnie czytających powiastkę włożoną w książkę do nabożeństwa.

Emil Augier jest wnukiem Pigault-Lebruna. Wystąpił on po raz pierwszy z „Cykutą“ rodzajem antycznym, który Ponsard wprowadził w modę swoją „Lukrecję.“ W r. 1848 napisał „Awanturnicę,“ potem „Gabryelę.“ Ta ostatnia sztuka była uidealizowaniem obyczajów mieszczańskich. Uczciwemi swemi utworami Augier zarobił sobie nagrodę Monthyona. On to również w innej sztuce podzielił rodzaj żeński na dwie części; na panny i matki. Zaniechał następnie wierszowania i napisał „Zięcia pana Poirier,“ wraz z Juljanem Sandeau. Sztuka ta, bardzo dobrze traktowana, przedstawia odwieczne starcie arystokracji z mieszczaństwem; treść taka dziś już wyszła z mody. Paryż pamięta jeszcze „Syna Giboyera“ i *Efrontées*. Jest to dość żywy obraz obyczajów katolickich i światowych. W osobie Deodata poznać można pamflecistę Ludwika Veuillot, stronnika prawa boskiego i ołtarza. Emil Augier w ostatnich czasach dał do *Théatre français* sztukę *Lions et renards*, w której zdaje się zeszedł ze swej dawnej drogi.

(C. d. n.)

FAUST.

Nowella rossyjska w dziewięciu listach

JWANA TURGENIEWA

przełożył J. Pł.....

„Entbehren sollst du, sollst entbehren.“
Fausta część I.

(Ciąg dalszy).

LIST V.

(Paweł Aleksandrowicz B. do Szymona Mikołajewicza W.)

Wieś M.... 16. lipca 1850.

Dawno już do ciebie nie pisałem, kochany Szymonie Mikołajewiczu, o ile pamiętam, przeszło od miesiąca... a jednak wiele bym ci miał do powiedzenia. Lecz byłem leniwy i wyznaję, że przez cały ten czas mało o tobie myślałem. Z ostatniego twojego listu wnioskuję, że roisz sobie o mnie fałszywe albo nie zupełnie prawdziwe domysły. Sądzisz, żem się rozkochał we Wierze (niewygodnie mi poprostu nazywać ją Wierą Mikołajewną!) mylisz się. Odwiedzam ją często, Wiera podobała mi się bardzo... komuż by się mogła niepodobać? Radbym widzieć ciebie na mojem miejscu! Dziwnaż to istota! Bystry pogląd i szybkie pojęcie obok dziecinnej naiwności; sąd jasny i trafny; wrodzone poczucie piękna i niezmordowane dążenie do prawdy; przestronny zmysł dla wszystkiego nawet dla tego, co złe i śmieszne... a po nad tem wszystkiem jak białe skrzydła anioła roztoczone, wdzięk i czystość niewieścia. Cóż ci więcej powiem? W ubiegłym miesiącu wiele czytaliśmy razem, wiele przegadaliśmy ze sobą. Czytanie z nią sprawia mi nieznaną dotychczas roskosz — roztwiera przedemną niejako nowe całkiem krainy. W głośny podziw nigdy ona nie wybucha — obcą jest jej wszelka hałaśliwość; lecz skoro jej się co podoba, to wówczas rozpromienia się cała jej postać a twarz jej przybiera dziwnie szlachetny wyraz... wyraz dobroci, tkliwej dobroci. Kłamstwa nie znała Wiera nigdy; od dzieciństwa przywykła do prawdy, nią tylko oddycha; ztąd też pochodzi, że i w poezji, tylko co prawdziwe, wydaje się jej naturalnem i pięknem. A wynajduje to odrazu, jakby znajomą jaką twarz. Jest to wielka zaleta, wielkie szczęście, a — muszę przyznać — zawdzięcza to ona swej matce. Ileż razy, patrząc na Wierę, przychodziły mi na myśl wielkie słowa Goethego:

Człek prawy wiedzion tajemnem przeczuciem
Zawsze jest w duszy świadom prawej drogi...

Jedno tylko mnie gniewa i drażni, to że jej mąż zawsze jest przy niej. Proszę cię, nie użyj tego wyznania za temat do niewczesnych konceptów, nie każ naszej przyjaźni żadną myślą nieczystą. Dla człowieka tego równem niepodobieństwem jest zrozumieć poezję, jak dla mnie grać na flecie, a jednak nieodstępuje nas nigdy i udaje, że razem ze żoną chce korzystać ze skarbów nauki i piękna. I ona także wystawia czasem moją cierpliwość na ciężką próbę; naraz nie chce nic słyszeć o poezji, nie chce nic czytać o niczem gadać; zasiada do krosienka, bawi się z Natasią, rozprawia z klucznicą, idzie do kuchni i wsparta na rękach wypatruje z okna, a czasem nawet przychodzi jej koncept grać w karty z piastunką. Przekonałem się, że w takich razach najlepiej nie sprzeciwiać jej się i nie przeszkadzać jej, dopóki sama nie wróci, nie zacznie rozmowy lub nie weźmie książki do ręki. Posiada ona wielką samodzielność ducha, i to mnie cieszy. Przypominasz sobie, że nieraz za młodu zdarzało nam się słyszeć własne nasze słowa powtarzane przez młodych dziewcząt usta? Wówczas, to echo naszych myśli zachwycało nas, zniewalało nawet do uwielbienia i hołdów, dopókiśmy się nie przekonali, co się w tem właściwie kryje. Ale Wiera... nie, ona samoistnie stoi, nikomu nie wierzy na słowo, żadna obca powaga nie zdoła jej podbić zupełnie. Nie sprzecza się wprawdzie, ale też nie ustępuje. Nieraz rozmawialiśmy ze sobą o Fauście; szczególna rzecz, że nigdy nie wspomina nic sama o Małgosi, słucha tylko tego, co ja o niej mówię. Mefisto przeraża ją, lecz nie jako szatan, lecz jako to tajemnicze „coś“, co w każdym człowieku mogłoby być ukrytem. Są to jej własne słowa. Starałem się jej wytłumaczyć, że to „coś“ zwykliśmy nazywać refleksją, lecz nie zrozumiała tego wyrazu w znaczeniu niemieckiem; zna ona tylko refleksję francuską i przywykła uważać ją za coś pożytecznego. Dziwny stosunek zachodzi pomiędzy nami! Pod pewnym względem wywieram na nią wpływ i mogę powiedzieć, że ją wychowuję... lecz z drugiej strony i ona, nie wiedząc o tem, korzystną we mnie wywołuje zmianę. Między innemi zawdzięczam jej zrobione przezemnie od niedawna odkrycie: jakie mnóstwo pstrej frazeologji zawiera niejeden poetyczny utwór. Wszystko, co jej nie porusza, nie zagrzewa, już tem samem wydaje mi się podejrzanem. Zaiste, wyrobiłem sobie za jej pomocą lepszy i wytrawniejszy sąd o rzeczach. Niepodobieństwem byłoby obcować z nią, przestawać z nią, i nie zostać innym człowiekiem!

Zapytasz mnie może, do czego to wszystko prowadzi? Zaprawdę, powiem ci, że do niczego. Przepędzę ten czas aż do września w sposób najprzyjemniejszy, a potem odjadę... Z razu będzie mi się życie wydawać nudnem i smutnem... lecz w krótce przyzwyczaję się do niego. Wiem o tem dobrze, że wszelki stosunek pomiędzy mężczyzną a młodą kobietą jest niebezpieczny; wiem, jak nieznacznie z jednego uczucia wyradza się drugie, i wyrwałbym się gwałtem i uciekł ztąd, gdybym się nie był przekonał, że spokojniśmy oboje. Raz jeden wprawdzie, zaszło między nami coś dziwnego. Jak to się stało, nie wiem... przypominam sobie tylko, żeśmy czytali razem „Oniegina...“ wtedy ni ztąd ni z owąd pocałowałem ją w rękę. Ona odsunęła się zwolna i rzuciła na mnie spojrzenie, (nigdy nie widziałem podobnego spojrzenia, mieściło się w niem pewne zamyślenie, uwaga i surowość). Nagle zarumieniła się, wstała i odeszła. Dnia tego nie mogłem się więcej zejść z nią sam na sam. Unikała mnie i całe cztery godziny przesiedziała z mężem, guwernantką i piastunką przy kartach. Nazajutrz prosiła mnie, ażebym z nią poszedł do ogrodu. Doszliśmy do samego stawu. Nagle, nie patrząc na mnie, szepnęła: Proszę pana, — nie czyń pan tego więcej.—I zaraz rozpoczęła mówić o czemś innem... uczułem głęboki wstyd i upokorzenie.

Przyznam ci się, że obraz jej ustawicznie tkwi w mojej wyobraźni i że jeszcze ten list dlatego tylko, ażeby módz mówić o niej. Lecz słyszę już jak konie moje parskają i biją niecierpliwie kopytami, zajechał powóz, spieszę do niej. Woźnica mój nie pyta więcej, dokąd mnie ma wieść, bez pytania wiezie mnie do Prijimkowów. Na dwie wiorsty przed wsią, w miejscu,

gdzie skręca się droga, z za brzozowego lasku widać jej dom. Każdym razem błogo mi się robi na sercu, gdy widzę migocące okna jej domu. Schimmel, stary poczciwiec, odwiedza ją od czasu do czasu; księżna K. dzięki Bogu, tylko raz jeden zaszczyciła ją swoją wizytą. Schimmel nie bez racji powtarza zawsze wielce uroczystym tonem, wskazując na dom Wiery: to przebytek pokoju. W domu tym osiadł rzeczywiście anioł pokoju.

Skrzydły mnie swemi cicho okrywa
Kojąc ból serca i rany,
W ich cieniu słodko duch odpoczywa
Po krwawej męce doznanej...

Dość już tego, inaczej gotóweś, Bóg wie, co pomyśleć. Wkrótce napiszę do ciebie, ciekawym o czem? Bądź zdrów..., Ona nie mówi nigdy po prostu. Bądź pan zdrow! tylko:

Bywaj-że mi pan zdrów! To mi się podoba.

Twój P. B.

P. S. Nie pamiętam, czym ci już pisał o tem; ona wie, żem się starał o jej rękę.

LIST VI.

(Ten sam do tegoż samego.)

Wieś M.... 10. sierpnia 1850.

Przyznaj się, kochany przyjacielu, że spodziewasz się otrzymać dziś odemnie list pełny rozpaczy lub pełny zachwytu..., mylisz się, mój drogi: list ten w niczem nie będzie różny od swoich poprzedników. Nie zdarzyło się nic nowego i zdaje mi się, że się nic zdarzyć nie może. Przed kilku dniami odbyliśmy wycieczkę czółnem po jeziorze; opiszę ci ją. Było nas troje: ona, Schimmel i ja. Nie pojmuję, dlaczego tak często zaprasza tego starucha. Księżna Z. ma być z niego niezadowoloną, zaczyna bowiem opuszczać godziny. Zresztą tym razem był bardzo zabawny. Prijimkow dla bolu głowy nie mógł jechać z nami. Pogoda była cudowną! po błękicie żeglowały duże, białe chmury, o dziwacznych kształtach. Wszędzie blask, światło i życie, w lesie wesoły świergot, nad brzegiem plusk łamiącej się wody, w falach jeziora wijących się jak węże złociste igrało słońce! Z początku wiosłowaliśmy Niemiec i ja; później rozpięliśmy żagiel i lotem ptaka mknęliśmy po jeziorze. Pierś czółna krajała fale, a za nami ciągnęła się spieniona bruzda. Wiera wprawną ręką dzierżyła ster, śmiejąc się głośno, gdy krople wody bryzgały jej na twarz. Z pod chustki, którą miała na głowie, spływały jej bujne kędziory, igrając wesoło z wiatrem. Ja leżałem na dnie czółna, prawie u stóp jej Niemiec zapalił fajkę, skrył się cały w kłębach dymu i — wystaw sobie — zaczął po chwili śpiewać wcale przyjemnym basem. Najprzód odśpiewał znaną ową pieśń: „Cieszcie się życiem....“ następnie arję z „Zaczarowanego fletu;“ w końcu A. B. C. miłości, piosenkę, w której przechodzi się po kolei cały alfabet, naturalnie opatrzony stosownemi wierszami, począwszy od A, B, C, D, *wenn ich dich seh*, a skończywszy na U, V, W, X, *mach' einen Knix*. Schimmel śpiewał z uczuciem i właściwym wyrazem. Warto, żebyś był widział jak figlarnie mrugnął lewem okiem, przy słowie „*Knix*.“ Wiera śmiejąc się pogroziła mu paluszkiem, a ja zauważałem, że pan Schimmel za młodych lat musiał być dziarskim chłopakiem. No, tak, nie zrobiłbym był wstydu nikomu, odparł z dumą, wyrzucając popiół z fajki. Kiedym był jeszcze studentem, dodał, o-hoho!... Więcej nie powiedział nic, ale to „o-hoho!“ ileż ono w sobie mieściło znaczenia!... Wiera poprosiła go, ażeby zanucił jaką pieśń studencką, i zaraz zaintonował: „*Knaster den gelben*“ *refrain* jednak odśpiewał nieco fałszywie. Tymczasem zerwał się wicher; fale się wzburzyły, czółno poczęło się chwiać, a jaskółki polatywały tuż nad samą wodą. Zwinęliśmy żagiel i próbowaliśmy wiosłować. W tem nagle obrócił się wiatr, i zanim zdołaliśmy wyminąć uderzenie, fala przewaliła się przez pokład i mnóstwo wody nalało się do czółna. Przy tej sposobności okazał Niemiec prawdziwie młodzieńczą siłę i zręczność; wyrwał mi z rąk sznurek, ze znajomością marynarza nakierował żagiel i zawołał: tak się to robi w Kuxhaven. Wiera zdawała się być przelęknioną; zbladła, ale zwyczajem swoim nie rzekła ani słowa, podniosła tylko nieco suknię i oparła nogi na przecznicy czółna. W tej chwili wpadł mi na myśl wiersz Goethego, który od pewnego czasu ustawicznie szumi mi w głowie:

Po falach migocą
Tysiące błędnych gwiazd....

i wyrecytowałem cały wiersz. Gdym przyszedł do wiersza: „Oko ty moje, czemu w głębi toniesz?...“ wzniosła Wiera, która wyżej odemnie siedziała, tak że wzrok jej na mnie padał, zwolna oczy do góry i pomimo że wiatr dął jej w twarz, długo spoglądała w dal. Drobny deszczyk zaczął kropić i białemi perłami piany zasiał całe jezioro. Ofiarowałem jej mój zwierzchni surdut, przewiesiła go przez ramiona. Gdyśmy przybili do brzegu, podałem jej rękę, ażeby ją odprowadzić do domu. Czułem potrzebę powiedzenia jej wielu rzeczy... milczałem jednak. Przypominam sobie tylko, żem ją zapytał: dla czego siaduje zawsze pod obrazem pani Elzow, jak ptasze tulące się pod skrzydła matki.—Porównanie pańskie jest trafne, odparła na to; nie rada bym nigdy obywać się bez tych skrzydeł.—Czemuż pani nie chcesz używać wolności? zapytałem. Nie odpowiedziała na to ani słowa.

Dlaczegom ci tę wycieczkę opisał, tego sam dobrze nie wiem. Może dlatego, że była dla mnie jednem z najroskoszniejszych zdarzeń w tych czasach, chociaż zaledwie zwać ją można zdarzeniem. Ale tak mi błogo, tak wesoło, tak lekko było na sercu, że mimowoli cisnęły mi się do oczu słodkie łzy.

I wystaw sobie — nazajutrz idąc do altany, usłyszałem przyjemny głos kobiety, śpiewający pieśń: „Cieszcie się życiem.“ Zbliżywszy się, poznałem Wierę. *Brava!* zawołałem; nie wiedziałem, że posiadasz pani tak piękny głos. Zarumieniła się i zamilkła. Jej głos rzeczywiście piękny, lecz jestem przekonany, że ani się domyśla tego. Jakież skarby są w niej nieświadomie utajone! Ona sama siebie nie zna. Czyż taka kobieta nie jest w naszych czasach prawdziwym cudem?

12. sierpnia.

Wczoraj mieliśmy ze sobą dziwną rozmowę. Przedmiotem jej były duchy i ich zjawianie się na ziemi. Wiera, wystaw sobie, wierzy w to i twierdzi, że ma do tego powody. Prijimkow, który był obecny, patrzał przed siebie i kiwał głową, jakby na potwierdzenie jej słów. Starałem się dowiedzieć coś bliższego, lecz przekonałem się, że przedmiot ten dla niej niemiły. Rozmawialiśmy następnie o sile wyobraźni i o potężnym wpływie, jaki na nas wywiera. Opowiadałem jej, że za młodych moich lat, zwykłem był marzyć o pewnem szczęściu (jak zwykle ci, którym życie szczęśaiwmaa odci lub odmówiło). Najroskoszniejszem z tych marzeń było: przy boku ukochanej małżonki przeżyć kilka tygodni w Wenecji. Wyobrażałem sobie to szczęście tak czysto i tak żywo, że skrystalizowało się ono we mnie w jeden określony i stały obraz, który mogłem każdej chwili według woli wyczarować z głębi duszy mojej — potrzebowałem tylko zmrużyć oczy. A wyobrażałem sobie zawsze: noc jasną, łagodną, miesięczną, przepełnioną balsamiczną wonią... nie pomarańcz, jakbyś może sądził, lecz słoneczników i kaktusów. Dalej gładkie, szeroko rozpostarte zwierciadło morza; wielką wyspę z drzewami oliwnemi, tuż przy brzegu mały domek marmurowy z otwartemi oknami. Muzyka brzmi gdzieś z dala, Bóg wie, zkąd; wpół przyćmiona lampa rzuca blask łagodny na cienie drzew. Z jednego okna spływa aksamitna opona ze złotemi frędzlami aż do samego prawie zwierciadła morza. Wsparci na niej, tuląc się wzajemnie, stoją on i ona i patrzą na drzemiącą w oddali Wenecję. Wszystko to tak mi jasno, tak wyraziście się przedstawiało, jak gdybym to był własnemi oglądał oczyma. Wiera przysłuchiwała się moim fantazjom i rzekła: że i ona miewa czasem marzenia, lecz zupełnie innego rodzaju. Wydaje się jej wówczas, że jest gdzieś w Afryce, przy boku śmiałego podróżnika, albo że błądzi śladem Franklina po morzu lodowatem i wystawia sobie wszystkie niebezpieczeństwa i trudy, jakieby tam ponosić musiała.

— Zawieleś podróży czytała, rzekł jej mąż.

— To być może, odparła. Lecz marzyć, cóż z tego przyjdzie, że się marzy o niepodobieństwach?

— Dlaczego nie? zawołałem. Czemuż mamy potępiać te biedne niepodobieństwa?

— Źlem się wyraziła, odrzekła na to; chciałam powiedzieć: co nam potem, że marzymy o osobistem szczęściu? Tym sposobem nie osięgniemy go przecież — więc pocóż gonić za niem? Szczęście ludzkie jest jak zdrowie, posiadamy je tak długo, dopóki o niem nie myślimy.

Słowa te uderzyły mnie... wierz mi, ta kobieta posiada wzniosłego ducha. Z Wenecji zeszła rozmowa na Włochy i Włochów. Prijimkow odszedł, zostaliśmy sami.

— I w pani żyłach płynie krew włoska, rzekłem.

— W samej rzeczy, odparła; chcesz pan, żebym panu pokazała potret mojej babki?

— Proszę panią.

Poszła do swego gabinetu i przyniosła duży złoty medaljon, otworzyła go i ujrzałem w nim duże wyborne miniatury jej dziada i babki, owej dziewczyny albańskiej. Uderzyło mnie wielkie podobieństwo między dziadem Wiery a córką jego, panią Elzow; tylko że rysy jego otoczone chmurą pudru, wydały mi się bardziej jeszcze ostremi i surowemi. Ale zato cóż za twarzyczkę miała Włoszka! pełną jak róża w rozkwicie — z dużemi mokremi oczyma i uśmiechniętemi, różowemi usteczkami. Delikatne, lekko rozwarte nozdrza zdawały się drżeć do ognistych pocałunków a smagławe policzki jaśniały młodością, zdrowiem i siłą niewieścią. Czoła tego, dzięki Bogu, nie przyćmiła bladość myślenia. Wymalowaną była w stroju wieśniaczym. Malarz, prawdziwy mistrz, wplótł w jej krucze, stalowego połysku włosy, gałązkę winogradu, ozdobę bachantki, wybornie przystającą do całego wyrazu jej twarzy. A wiesz, kogo mi jej twarz przypomniała? Naszą Manon Lescaut w czarnych ramach. Co najdziwniejsza jednak,

to że przy bliższem wpatrzeniu się w obraz zdawało mi się także i w twarzy Wiery, pomimo odmiennych rysów, dostrzegać pewne podobieństwo z obrazem w spojrzeniu i uśmiechu.

Zaprawdę, powtarzam raz jeszcze: ani ona sama, ani nikt na świecie nie domyśla się, jakie cuda są w niej uśpione.

Jeszcze jedno! Na kilka dni przed ślubem, opowiedziała Wierze jej matka, pani Elzow, zapewne dla nauki, całą historję swego życia, śmierć matki swojej itd. Szczególniejsze wrażenie zrobiło na Wierze opowiadanie o jej dziadzie, owym tajemniczem Ładanowie. Może to ztąd pochodzi jej wiara w duchy? Dziwna, że właśnie ta czysta jeszcze dusza lęka się ponurego świata duchów i wierzy w niego.

Lecz pocóż ja ci to wszystko piszę?... Ha, stoi już na papierze, niechże więc na nim pozostanie i wraz z nim dojdzie ciebie.

Twój P. B.

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Tego wieczora jeszcze, połączył się z nimi kapitan inżynierów Wielhorski, który zebrał sobie kilkadziesiąt ludzi, prawdziwej hołoty, i udawał partyzanta; w Opatowie znalazł koło kościoła między niepotrzebnemi rupieciami szmigownicę żelazną półfuntową, — tę mu osadził na lawety mieszkaniec tamtejszy, niegdyś oficer artylerji kościuszkowskiej, oraz zrobił kilkanaście nabojów, z kulek tam także znalezionych; miał oraz na jednym chłopskim wozie kilka moździerzy wiwatowych; na co? — Wielhorski młody oficer, bardzo zdatny ale lekkoduch i szuler ogromny — zdawało mu się, że z takim partyzanckim oddziałkiem uda mu się działając na tyle korpusu moskiewskiego gdzieś napaść na jaki transport efektów albo kasę moskiewską, i w tej nadziei krążył po sandomirskim, ale nadzieja ominęła, Moskale co raz w większych masach się pokazywali; a z takimi partyzantami — złowiwszy ich, obchodzili się bardzo niedelikatnie: zwyczajnie suche drzewo i krótki sznurek kończył karjerę dowódzcy, a towarzysze, niemiłosiernie obici, wcielani zostawali w szeregi moskiewskie. Zdążał tu Wielhorski ku korpusowi Różyckiego, żeby się z nim połączyć, i pod zasłoną większej siły, na własną rękę prowadzić partyzantkę; ale generał inaczej to pojął: kazał Wielhorskiemu zostać w sztabie, a ludzi jego porozdzielał po innych oddziałach. Tak się też z bolem serca tego wielkiego dowódzcy stało; lecz ile sobie przypominam, satelity jego wkrótce się gdzieś porozłazili.

Ruszyliśmy tedy na wyprawę mostową; ale pomimo obrachowania, żeśmy tam powinni byli stanąć przededniem, nie przyszliśmy aż koło 10. godziny rano. — Moskale w szańcu przedmostowym nie spodziewali się tego, i nie zrobili żadnych przygotowań; a że od strony Janowca krzaki zasłaniały nasz pochód, więc wpadliśmy na równinę naprzeciw Kazimierza. Widać było doskonale szaniec i most nienaruszony uśmiechał się do nas. — W szańcu widać było wielki ruch tej małej osady; i jak tylko Ledóchowski ze swoimi bataljonami strzelców (z kosami) zaczął się formować, Moskale zaczęli także na tę kolumnę rzucać granaty, cało i pół pudowe. — Gdyby w tenczas bez namyślenia się był biegiem poleciał na most, byłby go opanował; ale najgorzej się stało. — Zawezwał artylerję, to jest dwa plutony, Kaczanowskiego i Frezego i kazał im odpowiadać z dział mniejszego jak moskiewskie kalibru; Moskale ochłonęli ze strachu, i wysłali na most pół kompanji piechoty, która pomimo strzałów naszych dosięgających ją, wypadła na środek tego długiego mostu, wysunęła z niego dwie łyżwy, i w tych się pokładła. Już tedy o wzięciu szańca mowy nie było. Moskale ciągle strzelali, chociażeśmy ze strzału wyszli, i stanęli w szyku bojowym naprzeciwko szańca. Strzelali ciągle cały dzień, to na nas, to na miasteczko Janowiec które podpalili.

Strzelali jeszcze co pięć minut prawie do północy, ale te strzały były tylko dla sygnalizowania robione, ażeby Ridiger stojący w Radomiu, przysłał pomoc zaatakowanemu mostowi.

Za Janowcem na wzgórzu stał opuszczony ogromny pałac niegdyś Krasińskich, chociaż już dachu na nim od dawna nie było, w niezłym jeszcze mury były stanie, sklepienia nad ogromnemi pokojami trzymały się jeszcze, pięknemi ozdobione freskami.

Ten pałac stał naprzeciwko szańca. Starożytne drzewa okalały go. Stał on wyżej od szańca i z pomiędzy tych drzew, widać było doskonale co się wewnątrz niego dzieje. Z generałem też i z kilkoma oficerami sztabu poszliśmy obliczyć załogę i zobaczyć system fortyfikacji. Jakeśmy już tam byli nadeszli w to samo miejsce około 100 oficerów i innych ciekawych, sformowaliśmy się w kupkę na stoku wzgórza. Zobaczywszy to rzekłem do generała, że „zanadto mam dobrą opinję o załodze, żebym się nie spodziewał granata.“ Ledwiem to wyrzekł, ogromny kłąb białawego dymu wzniósł się nad przeciwległą baterją i całopudowy granat wyrzucony z jednoroga, na najwyższem podniesieniu do nas wymierzonego, jechał prosto z wizytą do tej kupki. Upadł pomimo wzmocnionego naboju prochu, o 20 kroków niżej i pękł. Nie czekając drugiej próby i niedowierzającej niemożliwości lepszego strzału, (w rzeczy samej dyrekcja strzału była doskonałą, odległość tylko za wielka), cichaczem wszyscy się porozchodzili. Obserwowaliśmy się z jednej i drugiej strony, a strzały armatnie co kilka minut się powtarzały.

Wieczorem rozłożył się obóz, bo nie było co innego robić, tylko się cofnąć na dawne stanowisko.

Nic nie wiedzieliśmy, że Romarino idzie od Warszawy, i ile mi się zdaje, na drugi dzień przybył na wysokość Kazimierza; sam generał Zawadzki wpadł do szańca i byłby niezawodnie most opanował, ale łatwowierny, dał się Moskalom oszukać i drugi raz most ten nie wpadł w nasze ręce.

Mieliśmy nazajutrz rano opuścić tę pozycję, ale nie wiem dla jakiej przyczyny generał się opóźniał; jeszcześmy podstąpili raniutko ku mostowi, Moskale znowu silniejszy i więcej skoncentrowany rozpoczęli ogień, nawet nam kilku ludzi zabili; ja stałem sobie o kilka kroków od Ledóchowskiego przed frontem jego bataljonu, w tem granat wpadł w sam środek między nas i pękł zaraz, na szczęście ani nam, ani koniom naszym nic się nie dostało. *„Heute können wir vom Glück sprechen“* rzekł Ledóchowski, bo trzeba wiedzieć, że jako dawny elew akademji inżynierów w Wiedniu lubił bardzo po niemiecku mówić, jeżeli miał z kim. W tym momencie wpadł wysłany patrol w stronę Radomia w największym pędzie z raportem, że widział z daleka na równinie posuwające się silne kolumny jazdy i artylerji konnej nieprzyjaciela. Zaraz wydał rozkaz generał, żeby nasamprzód ruszyły furgony z bagażami, dla przebycia długiej i wąskiej grobli pod Chodczą górną, a mnie i kajetanowi Rulikowskiemu dał rozkaz pilnowania, żeby ten odwrót uskuteczniał się w porządku, i grobla żeby nie została zatarasowaną wozami. Ruszyliśmy więc wziąwszy z sobą kilku żandarmów polowych do pomocy.

W przedniej straży poszli wołyńcy Karola Różyckiego i dwa działa 6 funtowe Frezego, kłusem, żeby przelecieć przez groblę i tam wziąć pozycję; za nimi furgony i bagaże także kłusem wszyscy się chcieli wyprzedzać, to nie małym było nasze zadanie, utrzymać porządek na tej wąskiej grobli; słowa nie pomagały, trzeba było używać więcej przekonywających argumentów, to jest nahajki, która wielką rolę odgrywała. Grobla ta zamykała stawek na dosyć bystrej rzece wpadającej koło Janowca do Wisły. Grobla wąska, z początku jej mostek dobry i młynek po lewej stronie. Grobla była z jednej i drugiej strony wysadzona wysokiemi bardzo, rozłożystemi wierzbami, a od strony stawu była, że tak powiem firanka bardzo gęstej i wysokiej trzciny. Droga od Radomia, którą Moskale szli, była równoległa tej, przez którą korpus nasz do grobli postępował. Obydwie te drogi schodziły się przed groblą — przy mostku postawiłem młodego oficera piechoty z kilkoma ludźmi i rozkazem, ażeby po przejściu korpusu, mostek rozebrał, i drzewo z niego wraz z młynkiem spalił. Ostatniem wysileniem zmęczonych forsownym marszem koni moskiewska baterja pozycyjna konna opanowała pagórek, dominujący stawek naprzeciwko grobli, na której już wszystkie furgony zaangażowane szybko postępowały.

Stawek był tak mało szeroki, że słyszałem każdą komendę oficerów artylerji. — Rozpoczęli na nas rzęsisty ogień, tylko zasłonie wierzb i trzciny mamy podziękować, że ich pociski albo przenosiły nas, albo topiły się w stawie. Bo żeby parę furgonów było zdemontowanych, tak by się była grobla zapchała, że odwrót korpusu stał by się nie możliwym, i Bóg wie czy nie trzebaby było przed przemagającą siłą nieprzyjaciela broń złożyć; bo rzeczka nadzwyczajnie błotnista, nie dozwalała przejścia bokiem.

Zapomniałem powiedzieć, że część piechoty pod dowództwem Ledóchowskiego, przededniem jeszcze, z trzema armatami żelaznemi 3-funtowemi przeszła groblę i jako awangarda maszerowała w stronę Lipska, dokąd się cały korpus cofać zamyślał. Dwie ostatnie armaty Kaczanowskiego i dwie 3-funtowe bronzowe dowodzone były przez dwóch bardzo młodych oficerów, elewów szkoły aplikacyjnej, (z których jeden był ten sam Wysocki, który w r. 1863 jako generał odznaczył się wyprawą szaloną i niefortunną na Radziwiłów). Te działa ustawiono przed mostkiem dla powstrzymywania nieprzyjaciela. Straż tylną formowały: bataljon strzelców Kuszla na przedzie, za nim bataljon legji litewsko-ruskiej pieszy, a na ostatek świeżo przybyły dywizjon legji nadwiślańskiej pieszej. Asekuracja dział powierzona była dywizjonowi legji litewsko-ruskiej konnej pod dowództwem majora Bohdanowicza.

Jak się Moskale przekonali (bo ze wzgórza gdzie stały armaty mogli nas widzieć przez krzaki) że już wszystkie nasze pociągi przeszły groblę, i reszta korpusu przechodzić zaczyna; zmienili dyrekcję baterji, i zaczęli strzelać na naszą straż tylną. Tymczasem nadciągnęła zmęczona wprawdzie bardzo forsownym marszem ich jazda i posuwała się naprzód. Nieszczęście, czyli raczej nieudolność szefa sztabu była przyczyną, że tylną straż zamykał dywizjon legji nadwiślańskiej pieszy, który jeszcze nigdy nie był w ogniu. Na niego więc pierwsze strzały były wymierzone, kilka granatów wpadło w tę małą i strasznie młodą kolumnę; zmięszali się, a jak dragoni (pułk Kargopolski) rozbici na wiosnę przez Dwernickiego pod Poryckiem zobaczyli ten nieład; zrobili ostatnie wysilenie zmęczonych koni i wpadli na tę kupkę z pałaszami. Strach ogromny opanował tę biedną młodzież — zaczęli uciekać, jedną drogą prosto na bataljon legji litewsko-ruskiej, który rozbili; Moskale nie tracąc czasu sypali na uciekających granaty. Dragony powoli postępowali, i zabierali po drodze uciekających. Tak zmięszane te dwa oddziały, wpadły na bataljon strzelców Kuszla, i jego z sobą pociągnęły. (C. d. n.)

Z za więziennej kraty.

Poezje więźnia stanu z r. 1846.

IX.

Rozmowa z motylem.

Na falach światła i woni
Kołyszesz się motylu, latający kwiecie —
O zawiń do mnie, usiądź mi na dłoni,
I powiedz, co słychać na świecie?

— „Od więźnia motyl nie stroni —
Co słychać? mówią, że kiedy pomrzecie,
Zdejmą wam więzy i wolni będziecie,
A kto z was płacze, daremne łzy roni."

— Jakżem ci wdzięczny, luby motylu,
Za tak pocieszną nowinę!...
A powiedz, widział-żeś moją dziewczynę

Czy też o mnie pamięta?... „Któż po latach tylu
Pamiętać zdolny o tem, co już stracił z oczu?"
I odleciał i ginie w błękitnem przeźroczu!...

X.

Nieznajoma.

Witasz mnie białą rączką, jak lilii kwiatem,
I twój synek maleńki śle mi pozdrowienie —
Ja cię nie znam, a czemuż wpadam w zachwycenie
Jakbyś była mą siostrą, a ja twoim bratem?

Ja tu z okna — wysoko — panuję nad światem
A ty w królestwie mojem najmilsza poddana!
Przebacz jeślim obraził... ach! jabym kolana
Zgiął przed tobą i jeszcze nie przestałbym na tem.

Zrobiłbym cię królową, niewolnikiem siebie —
Twego synka bym kochał jako własne dziecię;
Dla ciebie i dla niego poświęciłbym życie.

Boś ty piękna jak zorza na porannem niebie!
Tyś pierwszą moją myślą o zmroku, o świcie —
Lecz nie chcę byś wiedziała, żem ukochał ciebie!

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział I.

(Ciąg dalszy.)

P. Trzecieszczakiewiczowa, prowadząc rozmowę w ten sposób, przeszło kwandrans wodziła po spacerach miejskich obydwie swoje panienki i p. Zameckiego, nie czyniąc najmniejszej wzmianki ani o OO. Jezuitach, ani o ks. Zygmuncie Stodolskim, ani o Żolciu, ani o O. Ignacym. Zacna ta matrona, jakkolwiek w głębi bogobojnego swojego umysłu czuła niesłychany wstręt do wszystkich rzeczy światowych, i jakkolwiek p. Zamecki był w jej oczach „człowiekiem bez poezji, bez wszelkiego szlachetniejszego instynktu, a nawet bez wychowania," poświęcała się zapewne dla jakichś wyższych celów, młodej deklamatorce zupełnie niezrozumiałych, i bawiła p. Tadeusza tak, jak się jej zdawało, iż najlepiej go zabawi. Znajdowała ona w tej mierze pomoc ze strony starszej swojej elewki, panny Cecylji, o której wiemy, iż na wzór i podobieństwo świętej patronki swojej pielęgnowała z upodobaniem najeteryczniejsze z umnictw nadobnych — muzykę, na cztery ręce z wielkim mistrzem tonów, z nót których karty obracał znany nam już młody dyletant o długich i starannie utrefionych włosach. Dalem już do zrozumienia, że mówiono najwięcej o pannie Helenie Podwalskiej, o jej zaletach powierzchownych i wewnętrznych, o jej nadzwyczaj egzaltowanym kierunku umysłowym, pod względem literatury, sztuki, a przedewszystkiem, religji, o jej głębokiem uwielbieniu dla ks. Zygmunta Stodolskiego, o jej postach, umartwieniach i ekstazach — i znowu o jej wdziękach i doskonałościach salonowych, i o tem nakoniec, jaka to szkoda, że osoba tak piękna, tak miła, tak wykształcona i tak dystyngwowana, nie może „zrobić partji," najpierw z powodu, iż ma tylko dwadzieścia tysięcy posagu, a potem z powodu, iż ma już o dziesięć lat więcej od panny Cecylji, a o jedenaście lat więcej od panny Wandy. Jednem słowem, zliczywszy i zesumowawszy wszystko co mówiono, p. Zamecki mógł pożegnać p. Trzecieszczakiewiczowę z tem przekonaniem, że panna Helena Podwalska posiada po części przymioty, stanowiące pierwszy stopień kwalifikacji do domu obłąkanych, po części zaś, jest starą panną, schodzącą z pola, nieposażną, a pomimo to polującą na bogatego męża. P. Zamecki słuchał tego wszystkiego z wielkiem zajęciem, i jakkolwiek sam nie objawił żadnego zdania, zdawał się niezmiernie uszczęśliwionym ze spotkania z p. Trzecieszczakiewiczową, a żegnając ją przyrzekł złożyć jej swoje uszanowanie, dziś lub jutro, o pierwszej po południu, wśród ciągłych zapewnień z jej strony, że wizyta tego rodzaju uszczęśliwi ją i zaszczyci nad wszelki wyraz. Ktokolwiek bywał nieco w świecie, ten zrozumie od razu, że pani Trzecieszczakiewiczowa dopełniała jedynie formy towarzyskiej, ogólnie przyjętej, i że w gruncie rzeczy, wzdrygała się na myśl wszelkiej bliższej zażyłości z tak jawnym bluźniercą i Antychrystem. Nie zrozumiała tego wszakże Wandzia, i w naiwności siedmnastej wiosny swojego życia, łamała sobie główkę nad tem, dla czego *la chère tante* zapraszała tak usilnie p. Zameckiego, tego prozaicznego człowieka, ulepionego z „gliny niewysuszonej w słońcu ducha, nie zwilżonej rosą eteru" — jak się wyraził o nim młody poeta „Przeglądu Codziennego," który w oczach panny Wandy, i w porównaniu ze zwykłemi glinianemi utworami wszechmocy boskiej, chodzącemi na dwóch nogach, był tem, czem jest filiżanka z Sèvres w porównaniu z niepolewanym garnkiem kołomyjskim. Nie pomogło to bynajmniej pannie Wandzie do zrozumienia głębokich zamiarów kochanej ciotki, że wróciwszy do domu, otrzymała około dwunastej godziny rozkaz uczesania włosów w pewien sposób, i włożenia pewnej l i l a sukienki, w której jej było bardzo do twarzy, i ulokowania się w salonie z „Wypisami Cegielskiego" w ręku, podczas gdy pannie Cecylji polecono o dwa pokoje dalej ćwiczyć się w pokonywaniu owych nieskończonych trudności, jakie wynikają z niepodobieństwa jednoczesnego tłuczenia dziewięćdziesięciu klawiszów, dziesięcioma tylko palcami. O ile zmiarkowałem, jako człowiek niemuzykalny, jest to właśnie szkopuł, o który rozbijają się najgenjalniejsze usiłowania wszystkich znakomitych i najznakomitszych egzekutorów, i tak długo sztuka ich nie wyrzeknie nam ostatniego swojego słowa, póki nie rozwiąże tego dziewięćdziesięcio-dźwięcznego problematu, ku zbudowaniu i roskoszy uszu naszych.

Gdy w ten sposób panna Cecylja to dążyła galopem, to znowu pielgrzymowała powoli i mozolnie od basu do wiolinu i napowrót, panna Wanda przewracała kartkę po kartce w książce Cegielskiego, a pani Trzecieszczakiewiczowa, powierzywszy Żolcia pokojówce, wyglądała z okna, aby interesujące to indywiduum nie użyło za mało albo za wiele komocji na chodniku przed domem, p. Zamecki wybrał sobie zajęcie wymagające niemałego stopnia cierpliwości. Od dłuższego czasu stał pod drzwiami pomieszkania, znajdującego się na dole, w głębi wielkiego dziedzińca jakiejś ogromnej kamienicy, zajętej przez nieskończoną ilość lokatorów. U drzwi nie było ani klamki, ani dzwonka, ani też jakiegokolwiek innego śladu rokującego nadzieję, iż po dłuższem pukaniu i czekaniu, wstęp tędy będzie otwarty. P. Zamecki stukał na przemian mocno i lekko, potem podchodził do okna i pukał w szybę, potem zaglądał przez okno do środka i ruszał ramionami, potem wracał do drzwi i znowu pukał w nie zawzięcie, i znowu szedł do okna, wołając: — Karolu! Karolu! jak gdyby chciał wskrzesić do życia kogoś pogrążonego w śmiertelnym letargu, i wyczerpawszy wszystkie te sposoby, zaczynał *da capo* z równym skutkiem.

W zwykłych warunkach, zdawałoby się, że ów Karol, którego wołał po imieniu p. Zamecki, albo umarł, albo leży na katafalku, i raz na zawsze przestał przyjmować odwiedziny. Musiała atoli być jeszcze trzecia ewentualność możliwą w tym wypadku, skoro p. Zamecki ile razy zaglądnął do okna, z podwojoną natarczywością przypuszczał szturm do drzwi, w przestankach przykładając ucho do szpary, którą w nich odkrył. W istocie, nie potrzeba było nadzwyczaj dobrego słuchu, aby i z większego oddalenia usłyszeć donośne chrapanie, rozlegające się w pokoju. Było to przeciągłe, systematyczne chrapanie człowieka nie trapionego niespokojnemi snami, ani wyrzutami sumienia, i używającego wczasu w całej jego pełni i słodyczy, bez względu na to, że dokoła panował ruch i gwar dzienny, i że słońce stało tak wysoko na niebie, jak tylko wydrapać się mogło pod pięćdziesiątym stopniem północnej szerokości, w miesiącu maju. Nakoniec atoli skrzypnęły jakieś inne drzwi w głębi sieni, i pokazała się w nich głowa kobieca.

— Wszak tu mieszka p. Karol Skryptowicz? — zawołał p. Zamecki uradowany tym objawem czuwania w tak sennem ustroniu.

— Tu, ale... nie ma go w domu... wyszedł... P. Zamecki rozśmiał się w głos na tę odpowiedź, daną nader niepewnym i wahającym się tonem, bo osoba, z którą mówił, zdawała się niepospolicie zakłopotaną.

— Niech mię pani będzie łaskawa wpuścić, ja wiem, że spi, widziałem go przez okno! Mam pilny interes do niego.

— A, to p. Zamecki! Przepraszam pana, bardzo przepraszam — ale mój mąż tak jest strudzonym....

— Czy dawno położył się spać?

— O, niedawno... Zaraz! Dziś mamy piątek... tak, położył się w środę wieczór, i nie kazał się budzić pod żadnym warunkiem.

— No, to już się przecież przedrzymał nieco! Pani pozwoli, że go zbudzę? Wszak nie objawił może zamiaru, iż chce przespać resztę dziewiętnastego stulecia, jakoteż część dwudziestego?

P. Skryptowiczowa nie zdawała się mieć najmniejszej pewności w tej mierze, i jakkolwiek zaprosiła p. Zameckiego do bawialnego pokoju, nie podobna było przekonać jej, iż sen jej małżonka może być przerwanym po czterdziestu godzinach bez obawy o jego zdrowie.

— On pracuje tyle, i z takiem natężeniem... głowa go rozboli, jeżeli się nie wywczasuje!

— Biedaczysko! Ale już ja to biorę na moją odpowiedzialność, i zbudzić go muszę koniecznie.— I pomimo wszelkiej opozycji ze strony p. Skryptowiczowej, p. Tadeusz przystąpił natychmiast do wykonania tej groźby, wtargnął bowiem do sypialni p. Karola i wielkim głosem, o dwa cale od ucha, jął mu opowiadać o pięknościach dnia wiosennego, i o innych korzyściach czuwania, co gdy nie pomogło, p. Tadeusz wziął swego przyjaciela za barki, podniósł go i posadził na łóżku, odsuwając mu z oczu ogromną niemiecką szlafmycę.

— Jak się masz kochany Tadeuszu? — mruknął p. Karol, i nie czekając na odpowiedź, obrócił się do ściany i począł chrapać na nowo.

— A niech-że cię nie znam! — wyjęknął p. Zamecki w rozpaczy, oglądając się po pokoju, jak gdyby szukał pomocy. — Jak-to — dodał, zbliżając się do biurka — otóż, jak babcię kocham, mój list, pisany jeszcze w marcu, pieczątka i koperta nietknięte! O, Karolu, Karolu!

— Hm, list — ozwał się ósmy z braci śpiących — ist! Ja... ja wiedziałem, o czem mi piszesz.

— Zkąd-że mogłeś to wiedzieć?! Pisałem ci najpierw, że los, któryśmy żartem kupili do spółki wygrał 20.000 złr. i że ci bank wypłaci twoją połowę.

— To niech sobie płaci, co mi do tego? Tu nastąpiło *andante maestoso* chrapania.

— Ależ Karolu, pisałem ci także, że zamierzam się żenić!

— A.... żenić? Żeń się, Tadziu. To bardzo dobry zamiar.

— Otóż pisałem ci, z kim się chcę żenić, i zasięgałem twojej rady, a między innemi donosiłem ci, że nim będę miał żonę, chciałbym...

— O, pewnie, chciałbyś mieć indult...

— Zbudź-że się już raz, spiochu! Pisałem ci, że chciałbym mieć córkę, i że wyświadczysz mi przyjacielską przysługę, jeżeli mi ją znajdziesz.

— Co? córkę?! — zawołał p. Skryptowicz otwierając po raz pierwszy oczy, i siadając na łóżku z własnej i nieprzymuszonej woli. — Zkąd-że ja ci wezmę córkę?

— Wszystko to mogłeś wyczytać z tego listu, którego dotychczas nie rozpieczętowałeś. Wiesz ty, że jako przyjaciel, kolega i człowiek uczynny, mógłbyś zejść świat wzdłuż i wszerz, nimbyś dobrał parę do siebie?

P. Skryptowicz zarumienił się i nie mówiąc ani słowa, porwał i zaczął skwapliwie czytać list, który od sześciu tygodni leżał na jego biurku.

(C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Opuściwszy Hornsund i opłynąwszy nie bez trudu przylądek Południowy, zwrócił się Isbiörn ku północy, chcąc posunąć się aż po krawędź ławicy lodowej i płynąć dalej wzdłuż niej na wschód ku Nowej ziemi. Wilczek zamierzał bowiem ponowić spostrzeżenia porobione w tej mało jeszcze dotąd znanej części morza w roku przeszłym przez Weyprechta i spodziewał się, że trzymając się jak można najwyższej szerokości, spotka Tegetthoffa albo u wybrzeży Nowej ziemi, albo na granicy zatorów lodowych. Ale zaledwie posunięto się 20 mil poza wyspę Hope, uderzono o zbite masy kry, które odparły okręt ku południowi i zmusiły go obrać drogę poniżej tej wyspy. Spotkane po drodze dwa statki norwegskie, powracające z Nowej ziemi, dokąd na połów się były wybrały, przyniosły bardzo niepomyślne wiadomości o stanie lodów i wkrótce też pojawiły się gęste kry i na tej południowej drodze, pomiędzy któremi z trudnością tylko mógł się Isbiörn naprzód posuwać, tem bardziej że nagle spadła mgła i zasunęła cały widnokrąg. Olbrzymie bloki lodu kołysały się jak widma na falach morskich, uderzały się i roztrącały nawzajem, to wynurzając się, to znowu gubiąc w tumanach mgły. Wkrótce został Isbiörn ze wszystkich stron otoczony, i co chwila trącany i ściskany krami, to więznął w lodach i pędził z niemi ku południowi, to znowu się wyswobadzał i wił się na wszystkie strony, szukając sobie otwartych kanałów. Czternaście dni trwało to męczące niebezpieczne miotanie się, aż wreście dnia 27 lipca przybito do lądu Nowej ziemi u przylądka Brytwin. Niebo rozpogodziło się i lody rozpierzchły się tak, że jak daleko dojrzeć było można z kosza na maszcie dokoła czyste i spokojne widać było morze. Takie nagłe i zagadkowe prawie zmiany, sprowadzane głównie przez zmianę kierunku wiatrów, są właściwe arktycznym morzom. Częstokroć okręt uwięzły w lodach i owiany gęstemi mgłami, widzi się nagle uwolnionym; zatory, co ściskały jego boki, rozbijają się na drobne kry, rozpierzchają się na wszystkie strony, jak spłoszone stado ptactwa, mgły nikną, cały widnokrąg się oczyszcza i tylko daleko widać połyskujące w słońcu krawędzie spędzonych wiatrem lodów.

Korzystając z tak pomyślnej zmiany, nie zatrzymano się u przylądka Brytwin, lecz ruszono zaraz dalej ku północy wzdłuż wybrzeży wyspy, aby zawinąć jak najprędzej do kanału Matoszkin, który przecina ją na dwie nierówne części. Nowa ziemia, dalszy ciąg Uralu, oddzielony od kontynentalnej jego części Jugorską i Karyjską cieśniną, nie ma tak wysokich pasm gór, jak Spitzbergen. Sterczące pośród lodów szczyty zdają się na pierwszy rzut oka zupełnie bezładnie rozrzucone i niepowiązane w żadne pasma. Przedzielające je lodowce i pola śniegowe nie zsuwają się jednakże na południu kanału Matoszkin aż do wybrzeży, które owszem gęsta i soczysta okrywa wegetacja i ożywiają stada pasących się renów.

Po dwudniowej podróży, której najpiękniejsza ciągle sprzyjała pogoda, zarzucono kotwicę w kanale u ujścia rzeki Czyrakina, obok czterech innych okrętów rossyjskich i norwegskich, i hr. Wilczek postanowił poświęcić kilka dni wycieczkom na ląd i wypoczynkowi, którego on i towarzysze jego niezbędnie potrzebowali. Badania Höfera i zebrany tutaj przezeń materjał geologiczny przyczynił się wielce do udowodnienia związku Nowej ziemi z Uralem, co do którego zdania dotąd były jeszcze podzielone, a dokładne zdjęcia kartograficzne, porobione pomiary i spostrzeżenia fauny, flory i stosunków klimatycznych, przekonały, że wszystkie dotychczasowe daty o Nowej ziemi były bardzo niedokładne. Wzbogacił też hr. Wilczek swoje zbiory kilku rzadkiemi egzemplarzami ptaków strefy polarnej i wielu ciekawemi okazami roślin. Od kap. Ulve, doświadczonego w podróżach po tych wodach marynarza, którego statek stał tutaj także na kotwicy, otrzymali podróżnicy austrjaccy ważne wskazówki i objaśnienia, ale powzięte o stanie lodów wiadomości nie wróżyły pomyślności dalszej podróży na północ do przylądku Nasau, do którego Wilczek dotrzeć zamierzał. Stracono też prawie zupełnie nadzieję dopędzenia Tegetthoffa, który norwegscy marynarze mieli już przed tygodniem spostrzedz z daleka, jak zmierzał w kierunku północnym. Trudno bowiem było przypuścić, żeby żaglowy jacht zdołał przebić się przez lody, które owe okręty norwegskie i rossyjskie zmusiły do cofnięcia się w cieśninę Matoszkin, i żeby mógł zdążyć za parowcem, który o cały tydzień go wyprzedził. Hr. Wilczek postanowił jednak bądź co bądź próbować szczęścia i dnia 5 sierpnia puszczono się dalej w drogę.

Po czterodniowej podróży, przeciskając się wąskiemi kanałami pomiędzy wybrzeżem a okrytem krami morzem, opłynął Isbiörn półwysep Admiralicji, gdzie spotkał powracający okręt norwegski. Zbliżywszy się dla zasięgnienia wiadomości o dalszej drodze, dowiedziano się, że przed kilku dniami rozbiły lody dwa statki norwegskie koło wysp Garbatych, których załogę uratował szczęśliwie właśnie ten okręt. Nadzieja dotarcia do zamierzonego celu stawała się więc coraz wątpliwszą, ale Wilczek nie dał się odwieść od zamiaru płynąć naprzód jak można najdalej, choćby przyszło się przebijać krok za krokiem przez zatory lodowe. Jakoż wkrótce zbiły się tak gęste kry, że ledwie z największem wysileniem można było torować sobie kanały i co chwila groziło niebezpieczeństwo ustrzęgnięcia w lodach. W tem dnia 10 sierpnia spostrzegł majtek z kosza daleko na widnokręgu trzymasztowy statek. Odległość jednak była tak wielka, że nie można było być pewnym, czy nie jest to tylko złudzenie wzroku. Ale nazajutrz przekonano się niewątpliwie, że w północno zachodniej stronie sterczą maszty i komin Tegetthoffa pośród lodów. Ucieszony tem niespodziewanem spotkaniem, kazał Wilczek wywiesić flagę i dawać ognia z armatki sygnałowej. Pomimo sygna-

łów nie spostrzeżono z Tegetthoffa małego jachtu gubiącego się pomiędzy blokami lodów na ciemnem tle wysp. Obawiając się stracić go znowu z oczu, tem bardziej, że widziano dym wychodzący z komina, przeciskano się z niewymownym trudem ku niemu przez lody i nakoniec po 24 godzinach w odległości około 6 mil spuszczono łódź, przystrojoną austrjacką i norwegską flagą, na ktorej hr. Wilczek i br. Sterneck popłynęli ku parowcowi.

Z butelką szampana w ręku wstąpił Wilczek na pokład Tegetthoffa, powitany głośnemi okrzykami radości przez całą załogę. Wesoło obchodzono niespodziewane i dlatego podwójnie miłe spotkanie, opowiadając sobie wzajemnie przebyte przygody. Dowiedziano się teraz, że Tegetthoff miał równie trudne jak Isbiörn zawady do zwalczenia. Pominąwszy przylądek Północny Europy ujrzał on już przy końcu lipca powyżej 74° szer. granicę lodu przed sobą i już w tem miejscu doznała ekspedycja austrjacka niespodziewanych wcale przeszkód. W początkach sierpnia otoczyły parostatek lody i tak go ścisnęły, że przez kilka dni stracił zupełnie swobodę ruchu. Wydobywszy się na wolność, popłynięto wprawdzie ku wybrzeżom Nowej ziemi, ala nader niska ciągle temperatura i wielkie masy lodu, nagromadzone naokoło, przejmowały niemałą obawą Weyprechta i Payera, gdyż w roku przeszłym, gdy to morze zwiedzali, wszystko zupełnie było inaczej. Ledwie z ciężkim mozołem przebito się wzdłuż wybrzeży i dopiero około wysp Wilhelma nieco wolniejszą znaleziono drogę, ale zato mgły nie pozwalały posuwać się dalej i statek musiał ma polu lodowem zarzucić kotwicę. W tem miejscu właśnie usłyszano sygnały działowe i wkrótce potem spostrzeżono zbliżający się Isbiörn. (C. d. n.)

POGADANKI.

III.

Opowiadałem niedawno na tem miejscu o eksperymencie, przedsięwziętym przez dr. Ox w miasteczku Quinquendone w celu ożywienia flegmatycznego nadzwyczaj temperamertu tamtejszej ludności, jakoteż rady i zwierzchności miejskiej. Niejeden z lwowskich czytelników „Tygodnia“ pomyślał sobie zapewne przy tej sposobności, że coś podobnego z wielką korzyścią dałoby się zastosować w stolicy królestw Galicji i Lodomerji, której władza municypalna nigdy nie słynęła z energji, w ostatnich zaś czasach powolnością swoją i flegmą zaimponowaćby mogła najzimniejszym nawet Flamandczykom. Między nią a kronikarzami pism perjodycznych toczy się o każdej porze roku zawzięta walka polegająca na tem, że kronikarze domagają się pewnych porządków w mieście, a „świetny“ magistrat zbywa te insynuacje poważnem milczeniem, pocieszając się tem, że za kilka tygodni gazety znowu czego innego żądać będą. W istocie, niedogodności takie, jak kurz, błoto, śnieg i gołoledź w naturalnym biegu rzeczy następują jedna po drugiej i skargi dziennikarskie stają się bezprzedmiotowemi, nim jeszcze magistratowi sprzykrzy się słuchać ich codziennie. Gdy nastanie odwilż, nikomu nie przyjdzie na myśl upominać się o posypywanie chodników piaskiem, a skoro pociśnie mróz, nikt nie narzeka na to, że musi grzęznąć w błocie. Kilka tygodni, jak powiadam, flegmy i cierpliwości, a kronikarze są pobici i muszą zaniechać dalszej kampanji. Stałe te porażki „szóstego mocarstwa“ na bruku lwowskim zniewalają mię odezwać się niniejszem do szanownych moich kolegów w zawodzie kronikarskim i przedstawić im, że czas zaniechać walki tak nierówną bronią prowadzonej, a imać się skuteczniejszych środków. System doktora Ox, wydaje mi się w tej mierze najpraktyczniejszym. Urządźmy w sekrecie laboratorjum chemiczne, i za pomocą kauczukowych rur nasyćmy tlenem powietrze, którem oddychają ojcowie i opiekunowie miasta. Niezawodnym rezultatem będzie energiczne wykonanie przepisów już istniejących, a wydanie nowych, które się okażą potrzebnemi. Nikt nie ścierpi, by prawiono nonsensa w sali radnej, by komunikacja na chodnikach była równie uciążliwą jak podróż do kraju Franciszka-Józefa, i by można być pożartym przez psy na ulicy. Oprócz tego, zwiększona ilość tlenu w atmosferze wpływać ma niepospolicie na rozwój talentów i zdatności umysłowych — nietylko więc zniewolimy obóz przeciwny do uwzględnienia naszych żądań, ale nadto, sami wzniesiemy się na najniedostępniejsze wyżyny ducha i zadziwimy świat naszemi pracami. Autor rozprawy o Reju z Nagłowic i recenzent „Gazety Lwowskiej“, zainaugurują w Europie nową erę dla krytyki, miejscowi nasi fabrykanci kupletów staną się Szekspirami i Molierami, a szkoła uczonych fejletonu „Gazety Narodowej“ pobije z kretesem darwinistów i nawróci samego Renana do wiary w cuda, jeżeli go nie nawróciła już sroga odprawa, dana przez nich ostatniej jego książce. Tlenu więc, tlenu jak najwięcej, bo ślisko na chodnikach, bo psy rozszarpują ludzi, bo ciemno na ulicach i niejasno a bałamutnie w dziennikach!

* * *

Uwagi moje o krótkości tegorocznych zapust poskutkowały snać nie wiele, skoro upływa już połowa czasu przeznaczonego na zabawy, a nie słychać jeszcze o żadnym balu publicznym, oprócz wieczorków w kasynie i w resursie mieszczańskiej. W domach prywatnych bawią się także mniej niż zwykle, i mało w ogóle widać ruchu karnawałowego. Jedne tylko reduty świadczą, że Wielki Post jeszcze się nie zaczął. Bywają one bardzo ożywionemi, wbrew twierdzeniu pewnego pisma, które spodziewa się zapewne podkopać materjalnie obecną dyrekcję teatru, zapewniając, że maskarady nie udają się i że uczęszczać na nie nie warto. Jest to jeden z owych „godziwych“ sposobów walczenia, których to pismo ma zawsze mnóstwo w zapasie. Umieszczać tylko naganne krytyki, albo nie umieszczać wcale żadnych, domagać się uporczywie takich rzeczy, którychby się nie zrobiło, gdyby się objęło dyrekcję, a potępiać inne, od których rozpoczęłoby się i na których skończyłoby się zawód dyrektorski, milczeć nakoniec zawzięcie, gdy wszystko to nie skutkuje, w nadziei że ludzie zapomną o istnieniu teatru i chodzić do niego nie będą — oto niektóre z tych sposobów. Co do redut, złość ta okazała się bezsilną, kto chce i umie się bawić, bawi się na nich wybornie — a na ochocie nie zbywa przynajmniej Lwowianom, chociaż po największej części brak im tej umiejętności bawienia się, jaką widzieć można gdzieindziej. Brak tutaj mianowicie tego wesołego, żywego, lekkiego usposobienia, które nie potrzebuje sztucznej podniety i uprzyjemnia czas sobie i drugim. Lwów pod względem temperamentu jest typowo ruskiem miastem niepospolicie melancholicznem i zamyślonem — proszę uważać, że nie mówię: myślącem. Nawet żydzi stracili tutaj swoją ruchliwość wrodzoną. Na redutach, mimo największego natłoku, trzyczwarte części publiczności widzieć można pogrążone w kontemplacji i nadzwyczaj przytem zadowolone z tego stanu. Co kontemplują, o czem myślą, nie śmiałbym zgadywać, prawdopodobnie d u m k u d u m a j u t, jak mówi kozak. Większe ożywienie następuje dopiero przy kieliszku, w małych kółkach, które się tworzą — podczas gdy w izbie pełno samotników, błąkających się bez celu i znajdujących w tem upodobanie, które jest prawdziwą psychologiczną zagadką. Cóż robić, każdy naród ma swój odrębny rodzaj zabawy, i swoje gusta — musi je mieć i naród lwowski.

* * *

Najstarsze z niepolitycznych pism lwowskich obchodziło temi dniami dwudziestopięcioletni jubileusz swojego istnienia. Jest niem „Przyjaciel Domowy“ p. Hipolita Stupnickiego, Nestora wydawców lwowskich. „Przyjaciel Domowy“ jest skromną publikacją, nader pożyteczną z powodu, iż dzięki taniości swojej a przystępnej treści wciska się tam, gdzie inne pisma nie dochodzą. Walka o byt staje mu się nieraz nader trudną, i na tem większe uznanie zasługują niezmordowane usiłowania p. Stupnickiego. Jest projekt, aby temu weteranowi dziennikarstwa ulżyć w jaki sposób ciężar egzystencji teraz przynajmniej, gdy go już i wiek podeszły przygniata — dotychczas atoli nikt nie wziął inicjatywy ku wykonaniu tego planu. Godziłoby się nie zaniedbywać tej sprawy, a możeby zajęcie się nią wznowiło myśl założenia towarzystwa wzajemnej pomocy literatów, dziennikarzy i artystów. Jakaś fatalność chce, że ci właśnie, którzy innych nawołują do solidarności, i do stowarzyszenia się, sami stowarzyszyć się nie mogą. Pierwsza próba w r. 1868 zrobiła opłakane *fiasco*, może z powodu, iż chciano od razu robić wszystko na wielkie rozmiary i marzono o towarzystwie naukowo-literackiem, dla którego nie było materjałów. Znalazł się tylko — o co najłatwiej — prezes i sekretarz, a nawet sekretarzowi przez kilka miesięcy udawało się zebrać tyle wkładek, ile wynosiła jego pensja, póki i to się nie urwało. Wspomnienie o tym niedoszłym embrjonie lwowskiego towarzystwa naukowo-literackiego przechowane jest w mowie, którą miał dr. Majer przy otwarciu Akademji umiejętności w Krakowie — a obszerniejszej nieco wiadomości zasięgnąć można z „Kronik lwowskich,“ przedrukowanych z „Gazety Narodowej.“ Jeżeli kto chce dojść, w jaki sposób brać się do rzeczy, aby się nie udała, niechaj zbada te źródła i postępuje inaczej.

* * *

Moskale zaczęli od niejakiego czasu zajmować się naszą literaturą dramatyczną. Oprócz „Mazepy“ Słowackiego przełożył p. S....n (całe nazwisko nie jest wymienione) „Epidemję“ Narzymskiego i zapowiedział wydawnictwo „wyborowych utworów polskich pisarzy dramatycznych.“ W dalszym ciągu tego wydawnictwa pojawiły się: „Posażna Jedynaczka“ A. Fredry syna, i „Damy i Huzary“ Fredry ojca. Przekład „Epidemji“ poprzedzony jest biografją śp. Narzymskiego, w którą wpleciona jest polemika z recenzentem „Głosu,“ *

obok „Sankt Pietierburgskich Wiedomostiej“ najnieprzychylniejszego Polakom pisma moskiewskiego. „Epidemję“ przedstawiano na scenach moskiewskich, w „S. Pietierb. Wiedom.“ twierdzi atoli p. Aleksandrow, iż nie miała powodzenia. „Posażną Jedynaczkę“ dawano teraz właśnie w Petersburgu po niemiecku, w przekładzie uskutecznionym dawniej dla teatru Karla w Wiedniu. P. Aleksandrow obszedł się z tym utworem łaskawiej, niż z „Epidemją.“ robi jednak słuszny zarzut, iż w tłumaczeniu niemieckiem krotochwila tego rodzaju straciła wiele z powodu, iż podzielono ją na dwa akty, przewlekając akcję nie znoszącą refleksji ze strony widza, bo opartą na nieprawdopodobieństwach. O stanowisku, z jakiego krytycy moskiewscy zapatrują się na poezję i sztukę, zdał już „Tydzień“ sprawę swoim czytelnikom, wspominając o krytyce „Nieboskiej Komedji“ i „Mazepy.“ Jest to stanowisko pauprów ulicznych, z którem wszakże nie cała publiczność moskiewska zgadzać się musi, skoro coraz to nowe utwory pisarzy polskich znajdują tłumaczów.

Jan Lam.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Ciąg dalszy*).

(*Promenade autour du Monde par le Baron de Hübner; 3 edition; Paris, Hachette — 1874. — Przechadzka dokoła świata barona Hübnera.*)

„Wstąpiliśmy nakoniec do przybytku monarszego i oto jesteśmy przed obliczem Syna Bogów! Sala zdaje się wynosić 24 stóp długości, a 16—18 szerokości, podłoga w niej nakryta cienką matą: sala jest zupełnie próżną z wyjątkiem postumentu dwie stopy wysokiego, na którym zasiadł Mikado. Ciemność byłaby tam prawie zupełną, gdyby szczęśliwym trafem promienie słoneczne przebijając szparki żaluzji i zasłonę papierową nie oświeciły były wnętrza wraz z osobą Mikada. Zazwyczaj podczas rzadkich audjencji urzędowych, firanka na pół spuszczona, zasłaniała oblicze pańskie od natrętnych spojrzeń profanów. Tym razem zaniechano tej ostrożności. Potomek Bogów siedział z nogami na krzyż złożonemi, mając jedne rękę opartą na drugiej, zupełnie podobny do posągu Buddhy. Syn Bogów ma lat dwadzieścia, ale wygląda na trzydzieści. Nazywa się on właściwie Mutsuhito, o czem się z trudnością dowiedziałem, jakoteż o tem, że lud każdego panującego zowie Mikado; po śmierci zapisują go w historji pod rzeczywistem nazwiskiem. Rysy twarzy Mutsuhito przedstawiają typ czysto japoński: nos szeroki i nieco spłaszczony, cera blada, oczy żywe, lśniące i ruchome, pomimo że nieruchomość postaci cesarskiej należy do przepisów etykiety. Twarz podobną zdawało mi się często napotykać w ulicach Yedo; — Mikado czyli Mutsuhito ubrany był wcale nie wykwintnie. Odzież jego składały: tunika ciemno-szafirowego koloru i szerokie czerwone kiuloty. Włosy miał ułożone na sposób krajowy, ponad któremi wznosiła się prostopadle ogromna fryzura, przynajmniej na półtrzeci stopy wysoka, spleciona z grzywy i gałęzi bambusowych. Fryzura ta trzęsła się za najmniejszem poruszeniem głowy, będąc oznaką najwyższej godności.

Ani Mikado, ani jego ministrowie nie mieli na sobie żadnych klejnotów. Jego cesarska mość był nieruchomy jak statua, a twarz jego ożywiała się tylko gdy mówił. Za nim jeden z dygnitarzy trzymał miecz państwa. Nieszczęśliwy, ktoby ujrzał ów miecz obnażony! Musiałby zginąć. Po prawej stronie tronu stał Sanjo, wsparty o ścianę, wraz z trzema radcami; po lewej Iwakura. Adams zaś, Satow i ja stanęliśmy w pośrodku komnaty o kilka kroków naprzeciw Najjaśniejszego Pana. Z początku głuche milczenie panowało dokoła, przerywane tylko szmerem much i koników polnych.

P. Adams poproszony przez Iwakurę, aby się zajął przedstawieniem, rzekł, iż pod niebytność reprezentanta Austrji, rezydującego w Sanghaj, miał zaszczyt wprowadzić mię do jego cesarskiej mości. Mikado odpowiedział na to komplementem i zwrócił mowę ku mnie, winszując szczęśliwego przepłynienia morza — ja zaś wyrzekłem kilka wyrazów stosownych do okoliczności. Wtedy Mikado odezwał się po raz wtóry:

— Dowiedziałem się — rzekł — iż dźwigałeś pan przez czas długi ciężar wysokich urzędów i że piastowałeś niejednokrotnie godność ambasadora w potężnych narodach. Nie umiałbym sobie wyobrazić dokładnie przedmiotu jego zatrudnień; jeżeli wszakże pomiędzy owocami pańskich doświadczeń znajdują się takie, że ich poznanie byłoby dla nas użytecznem, proszę o udzielenie ich moim pierwszym radcom.—Odpowiednio do programu ceremonji cesarz mówił głosem cichym, zaledwie zrozumiałym. Minister Sanjo powtarzał po nim wyrazy dobitnie, a drogoman pałacowy angielszczył takowe. Słowa zaś nasze p. Satow przekładał na język japoński. Gdyśmy się oddalali, Mikado wpatrywał się w nas, nie poruszywszy się z miejsca. Zarówno na wstępie jak przy odejściu nie oddał nam ukłonu; ministrowie zaś wyszli za nami do ogrodu, zapraszając z sobą na przechadzkę. Pokazali nam w ogrodzie uprawne grzędy, jako próbki kultury krajowej urządzone na okaz cesarzowi; pozwolili mi przekroczyć fosę w celu nasycenia się cudownym widokiem roztaczającego się ztamtąd krajobrazu; następnie poszliśmy społem na zakąskę. Symetrja i miła prostota nakryć na stołach pałacowych była godną uwagi.

Przy pożegnaniu Sanjo poprosił mię z polecenia cesarskiego o objawienie zdania o Japonji. Tłumacząc się nieświadomością kraju, pochwaliłem usiłowania nowego ministerjum w celu ulepszenia bytu narodowego na zbawiennych podstawach.—„Mądrość ludzi wyższych — dodałem — zgromadzonych przy tej biesiadzie, stanie się im przewodniczką w trudnem zadaniu. Będą się rachować z obyczajami i pojęciami narodu, powierzonego ich pieczy; zrozumieją, że nie wszystko, co jest dobrem w Europie, da się zastosować do Japonji: będą unikać zmian bardzo nagłych, postępując z oględnością i rozwagą.“

Opuszczając zamek, wielcy urzędnicy dworu odprowadzili nas do powozu, o trzeciej godzinie wróciliśmy do domu. Wieczorem Mikado raczył nam przysłać w darze pudełka z konfiturami i cukierkami najdziwaczniejszych kształtów. Drewniane te pudełka nie są pokryte żadnem malowidłem ani lakierem, gdyż ozdoby tego rodzaju sprzeciwiałyby się starożytnym tradycjom dworu. Nie zapomnę nigdy sceny, której dziś byłem świadkiem: ten ogród pełen czarodziejskiego uroku, owe pawilony tajemnicze, mężowie stanu, ci nowocześni Solonowie w paradnych mundurach, krążący z nami po ścieżkach gaiku, ów mocarz wschodu, zakrawający na bałwana, a wierzący, iż jest Bogiem; wszystko to razem wzięte zdaje się być jakimś rozdziałem wyjętym z powiastek arabskich: „Tysiąc nocy i jedna.“

(C. d. n.)

Listy z Niemiec.

II.

Berlin w styczniu 1875.

Na ostatnie chwile ubiegłego roku rzucili Niemcy w polityce garść skandalów, w piśmiennictwie — garść prac poważnych i cennych. Za to też Europa wysłuchawszy ostatniego aktu ich rocznego życia jednocześnie wygwizduje i klaszcze. A ma co wygwizdywać! Sprawa Arnima, bismarkowskie harce i kłopoty, kontredans narodowych liberałów, tańczących w sejmie wedle kanclerskiej nuty i zgodnie z tą przygrywką dążących do wiadomego z góry rozwiązania swych niby swobodnych pozycyj i figur — cały ten polityczny spektakl każdemu niemal zagranicznemu dziennikowi układa usta do zaświstania. Szczególniej główny aktor tej hecy wart rzeczywiście takiego brawa. Nie sądźcie ażeby predylekcja pism humorystycznych do Bismarka płynęła tylko z jego potęgi i rozgłosu — ma on w swoich nagłych rzutach coś, co często do śmiechu pobudza. Nie znam dziś na całym globie ani jednego męża stanu, którego czyny dałyby się równie dobrze illustrować. I dla tego na czwartej stronnicy *Kladderadatscha* zwykle najlepiej się udaje Bismark, dla tego wreszcie chwałę jego śpiewają w duecie dwa równej siły głosy — szyderstwo z uwielbieniem. W tej chwili dominuje, a kto wie, czy nawet nie solo się odzywa, głos pierwszy. Francuska, angielska prasa i część niemieckiej gdy kurtyna w dramacie „Arnim“ zapadła, zaczęły kpić z demona, który niewidzialnie sprężynami akcji kierował. Jakto — wołają dzienniki — dwa miesiące więzienia dla „zbrodniarza, który zgrozą przejmuje serca każdego prawego patrjoty“, którym przez tyle miesięcy zaprzątano uwagę Europy, nad którym robiono tyle hałasu, którego niemiecki Jerzy jak smoka miał stratować! Dwa miesiące więzienia dla Arnima! Cóż Bismark na to? To drwiące pytanie ciągle powtarzają zagraniczne gazety, ja bym do niego dołączył odpowiedni syllogizm, mianowicie: jeżeli Niemcy „niezwykłych przestępców“ karzą dwoma miesiącami więzienia, to zwykłych chyba jeszcze wynagradzają. Widocznie poczuł konieczność efektu swej sztuki jej autor, gdyż coprędzej postarał się zatrzeć niekorzystne wrażenie farsy, tragedją która na nieszczęście znowu się ku farsie chyli. Przed kilku bowiem dniami dało się czuć w niemieckiej polityce trzęsienie. Przyzwyczajona do tłumaczenia tych zjawisk prasa zaraz przepowiedziała że jej bóg na kogoś musi się srożyć. Jakoż w istocie zaraz telegramy doniosły, że Bismark rozpoczął awanturę i zagroził dymisją. Łatwo można było przewidzieć że zagniewane bóstwo da się ułagodzić i berła nie złoży; tak się też stało, komedja jednak nie dała się podnieść do tragicznego pathos i manewr wymierzony na pokrycie owego wrażenia wywołanego epilogiem „Arnima“ upodobnił się z niem zupełnie w rodzaju i barwie. Ostatecznie więc powiedzieć można, że Jowisz pruskiego Olimpu dotknięty kilkoma niepowodzeniami reperuje i silniej nabija swe pioruny które go co chwila zawodzą. Gromy rzucone w ostatnich dniach ubiegłego roku — jak powiedziałem — wygwizdano. Nie należy im się też więcej odemnie nad tę krótką notatkę, po której opuściwszy duszną atmosferę politycznych matactw i nierozumu, przeprowadzam was czytelnicy w lepszą krainę niemieckiego życia, w której przynajmniej myśleć można bez oburzenia, czuć bez goryczy i patrzeć bez wstrętu.

Przechodzimy więc do literatury.

Ostatnie chwile zeszłego roku zakończyła ona — tak rzec można — ostentacyjnie. Szereg dzieł poważnych, gruntownych, czasem świetnych ozdobił ją tak korzystnie, że niektóre z tych ozdób bardzo długo zachowają swą obecną cenę. Tylko nie sądźcie, że do nich liczę nowe pomysły niemieckiego mózgu określające z zamachem ostatecznej instancyi prawdziwy stosunek j a do n i e j a lub odkrycia filozoficznych górników wykopujących w niewyczerpanym pokładzie rozumu Kanta nikomu nieznane bryły złotych prawd, nie sądźcie dalej, ażebym zaszczyt piśmienniczego odznaczenia się przysądzał obfitemu transportowi protestancko-racjonalnych wyrobów, które po raz chyba milionowy pogodziły wiecznie powaśnioną naukę z Biblją wynalazłszy dla obu wspólny rodowód — nie, chcę mówić tylko o płodach żywych i pożywnych. Ostatniemi czasy wzmógł się dość znacznie w niemieckiej literaturze kierunek realnego badania i myślenia. Jak wszędzie tak i tu Darwin wywarł wpływ potężny. Pod bezpośrednim działaniem jego teorji jedni zaczęli snuć dalej pozawiązywane przez nią wątki, inni znowu zaczęli podkładać jej prawa pod te działy zjawisk, w których one ani szukane, ani sprawdzone nie były. Szczególniej zaś historja stała się dla rozgorączkowanych nowemi natchnieniami umysłów ową głębią, w której one, jak nurki, przybrane w bezpieczny darwinowski przyrząd, zapuściły się dla wyszukiwania naukowych pereł. Owocem tych poszukiwań był właśnie wspomniony szereg znakomitych prac, które starały się przedstawić pojedyńcze okresy lub cały rozwój dziejów ludzkiego rodu i które tworzą tak wydatne znamię naukowego piśmiennictwa, że aż jeden z jego przedstawicieli nazwał antropologiczne studja — najświeższą w Niemczech modą. Ażeby wam czytelnicy tę modę okazać w najgłówniejszych jej postaciach, cofam się w swem sprawozdaniu o kilka miesięcy.

Bibljograficzna wzmianka „Tygodnia“ zawiadomiła was o wyjściu pracy Oskara Peschla p. t.: *Völkerkunde* (Leipzig 1874). Uczony i nieuczony świat niemiecki tak się tą książką zainteresował, że w kilka tygodni nie było w handlu ani jednego jej egzemplarza a dziś już pojawiło się drugie wydanie. Przyznacie że takie powodzenie jest dość intrygujące, zwłaszcza gdy owo rozchwytane dzieło nie rekomen-

duje się żadną paradoksalną awanturniczością, nie należy do jednego plémienia z *L'homme femme* lub *La femme de Claude*, ale jest produktem czysto naukowym. Nadto dodać trzeba, że wszystkie sprawozdania i rozbiory, jakie zdarzyło mi się spotkać, prześcigały się w uniesieniu i zapale. Należałem do nieszczęśliwych, to jest do tych, dla których pierwszej edycji dzieła Peschla zabrakło i którzy musieli czekać na drugą. Zapewnie niejednego z was czytelnicy napada gorączka naukowej ciekawości, gwałtowna chęć poznania jakiejś książki, która naokoło robi wrzawę, wywołuje entuzjazm, tymczasem dostać jej nie można, pierwszy transport rozkupiony a drugi nie prędko nadejdzie. Tej właśnie gorączki i ja doznawałem. Nie myśl zaś skeptyczna czytelniczko żeby taka książkomania była fanfaronadą lub pozowaniem. Sama z pewnością nieraz tęsknie wyczekiwałaś z poczty prenumerowanego pisma lub z czytelni głośnego romansu, lub wreszcie z magazynu modnego stroju. Strój, romans, pismo — wprawdzie upodobania różne ale zawsze upodobania, które potrzebują tylko troszeczkę zwrócić się w inny kierunek ażeby się przemienić w namiętność do książki — naukowej. Ale wreszcie czas powiadomić co w tej, która nas dziś zajmuje, znalazłem. Jest to, jak już z tytułu widzieć można wykład nauki powszechnie etnografją zwanej. Jeśli który z czytelników nie wie dokładnie co jest etnografja, pocieszam go zapewnieniem, że to grzech powszedni, gdyż dokładnie nawet uczeni nie wiedzą. Jakie są różnice i granice między psychologją ludów *(Völkerpsychologie)*, antropologją, etnografją i etnologją żaden specjalista w tych umiejętnościach nie wie. Ciągle bowiem jedna zachodzi w drugą, jedna może posługiwać się definicją ułożoną dla drugiej. Wprawdzie są pewne kategorje zjawisk, które wyłącznie należą do tej lub owej, nie mogą one jednak same przez się dać podstawy osobnej nauce. Jeden z niemieckich uczonych, autor świeżo wydanych „Przyczynków do Antropologji" o których niżej wspomnę, kilka stronnic swego dzieła zadrukował wysiłkami niby rozgraniczającemi sfery onych czterech umiejętności, cały wszakże jego pot djalektyczny został daremnie stracony, gdyż określenie że antropologja zajmuje się badaniem ludzkiego gatunku, etnografja obecnem rozmieszczeniem ludów, etnologja istotą ludów i t. d. jednakowo zastosować się dadzą do każdej z tych nauk i różnią się tylko nie pojęciami a wyrazami. Niech zaś nikt nie sądzi ażebym powyższą uwagą chciał ubliżać znaczeniu antropologiczno-etnograficznych badań i odmawiać im racji bytu, gdyż mojem zdaniem żadna nauka owych granic ściśle oznaczyć nie może bo ich nie ma. Kto utrzymuje przeciwnie, niech raczy odpowiedzieć jakie są n. p. kresy historji, fizjologji, lub matematyki. Trafna odpowiedź warta będzie kopernikowego odkrycia. Jeżeli zaś taką ruchomość granic widzimy w naukach starych, dojrzałych i wyrobionych, to cóż dopiero mówić o tych, które zaledwie na dziesiątki lat rachują swoje istnienie. I dla tego też książka Peschla, chociaż z tytułu swego i zadania jest etnografją, wykłada zarazem główne podstawy trzech pokrewnych z nią umiejętności. Gdy w pierwszej części mówi o stanowisku człowieka w stworzeniu, o fizycznych znamionach naszego rodu — wtedy jest etnopologją; gdy znowu w drugiej zajmuje się językiem, zawiązkami cywilizacji, pierwotnym jej rozwojem w kierunku technicznym, społecznym i religijnym — wtedy jest albo psychologią ludów albo chrologją, gdy znowu kreśli podział, drogi rozejścia się i siedliska ras — jest etnografją. Co się tyczy pozycji naukowej Peschla w obecnem dziele ta jest dość oryginalną. Główny zaś punkt ciążenia owej oryginalności pada na hipotezę autora, przypuszczającego że pierwotnem ogniskiem, zkąd się ludzkość po globie rozeszła, była ta jego część, którą dziś ocean indyjski zalewa. Zatem nie Indje, w ogólności nie Azja, lecz okrążające ją z południa morze. Do tego przypuszczenia doprowadziły Peschla fakta geologiczne jako też ślady najstarożytniejszej fauny i flory zbiegające się ku indyjskiemu oceanowi. Zresztą zwyczajem ludzi rozważnych i sumiennych nie widzi on w swym pomyśle nic więcej nad przekonywające go najbardziej prawdopodobieństwo. Ras przyjmuje siedm: australczycy, papuasy, mongoły, drawida, hotentoci z buszmanami, murzyni i tak zwane ludy śródziemne (hamici, semici, indoeuropejczycy i t. d.) Chciałbym namówić was czytelnicy do obejrzenia naukowego rusztowania tej książki, jej rozkładu, przyborów i bogactw. Uogólniając wrażenia i wiadomości, jakie z niej wyniosłem, mogę tyle tylko napisać: radzę ci czytelniku poznaj się z nią; jeśli jesteś starym nauczy cię tego czego może nie wiesz a wiedziećbyś pragnął, jeśli zaś jesteś młodym, tego co ci się w życiu bardzo przyda. Zwłaszcza młodzież uniwersytecka bez względu na to jakim poświęca się studjom pracę Peschla jako podstawę swej etnograficznej wiedzy wybrać powinna. Ominąłem pytanie dość ważne, jakie stanowisko zajął Peschl wobec darwinizmu? Bardzo rozumnie, mianowicie idzie obok angielskiego myśliciela dopóty, dopóki on postępuje po twardym gruncie faktów, przyszedłszy zaś nad brzeg tego gruntu opuszcza go i w skoku przez przepaść oddzielającą tajemnicę powstania człowieka towarzyszyć mu nie chce. „Darwinowski dogmat — powiada autor kończąc jego krytykę — wprawdzie nie jest utrafionem ale najlepszem usiłowaniem wytłomaczenia łączności dawnego i nowego stworzenia, i tylko przez bardziej zadawalniające rozwiązanie wyparty być może. Trudno zrozumieć dla czego pobożne umysły niepokoją się tą nauką. Jeśli bowiem stworzenie posiada w sobie siłę odradzania się i coraz doskonalszege rozwoju, zyskuje przez to na znaczeniu i godności. Prawowiernych chrześćjan ostrzegamy o niebezpieczeństwie na które się mogą wystawić, ubliżając tak wysoce szanownemu badaczowi jakim jest Darwin. Gdy Kopernik wystąpił ze swoją jeszcze słabo ugruntowaną teorją o planetycznej właściwości ziemi a nawet później, nietylko kurja rzymska ale także i protestanccy zapaleńcy potępili nowe objawienie. Prawdziwy stwórca za to, że w swoich dziełach postępował nie ptolemaicznie lecz po kopernikowsku został w osobie tych, którzy głosili jego budowę świata umieszczony na indeksie, a ci na których on — jak Kepler pisze o sobie — sześć tysięcy lat czekał, ażeby jego twory poznali, jak kacerze byli prześladowani. I teraz również stoją przed nami dwaj stwórcy: jeden przez Cuviera wyobrażony, który ciągle swe dzieła niszczy, dla tego że lepsze wymyślił i drugi darwinowski, który wszystkie istoty stworzył zmiennemi, ale kierunek tych przemian przewidział i nie psując zegarowi biegu pozwala mu wychodzić... Jedno kopalne odkrycie mogłoby jutro potwierdzić, że prawdziwy stwórca bardziej zbliża się do darwinowskiego niż cuvierowskiego wyobrażenia, a wtedy nierozważni fanatycy musieliby sobie jak prześladowcy Galileusza wyrzucać, że dla jakiegoś naukowego widma prześladowali prawdziwego boga. Historja teorji przemian pamiętała już jeden taki wypadek świetnego udowodnienia. Cuvier zamykał usta poprzednikowi Darwina, Lamarckowi, żądaniem, ażeby ten wynalazł mu przejściową formę pomiędzy paläotherium i dzisiejszym koniem, jeżeli przemiana gatunku owego dawnego zwierzęcia w nowe rzeczywiście nastąpiła. Gdyby Cuvier dotąd żył i gdyby w którem kolwiek z naszych muzeów zobaczył okazałego hippariona, musiałby ze wstydem wyznać, iż żądaniu jego w zupełności stało się zadość."

Książka Peschla była niejako szczęśliwym początkiem. Tuż bowiem za nią lub obok niej ukazały się liczne prace tejże samej gałęzi lub bezpośrednio z nią zrosłych. Maxim Perty wydał popularną *Antropologie* (2 Bde. Leipzig), dalej Hellwald również antropologję rozpoczętą przez Baera a po jego śmierci dokończoną przez Schaaffhausena (*der vorgeschichtliche Mensch* Leipzig 1874), później Georg Gerland puścił swoje *Anthropologische Beiträge* (Halle 1875), nie licząc mnóstwa broszur i grubych dzieł poświęconych darwinowskiej sprawie lub teorji. Z wyżej wymienionych publikacyj dość korzystnie wyróżnia się praca Gerlanda. Trudno wszakże o niej już dziś decydować, gdyż dotąd ukazał się dopiero tom pierwszy, zawierający naprzód wywody o wartości i zadaniu antropologji a następnie pierwotną historję rozwoju ludzkości. Jak silnem było w ostatnim roku natężenie realnego prądu myśli zwłaszcza na tem polu, po którem się obecnie rozglądamy, widzieć można zarazem i z licznych do tego działu piśmiennictwa należących tłumaczeń, między któremi naturalnie pierwsze miejsce zajmują dwa arcydzieła: Lubbocka (*Die vor geschichtliche Zeit*, übers. von Passow) i Tylora (*Die Anfänge der Cultur* 2 Bde.)

Zarówno dzieło Peschla jak i te prace, które obok niego stanęły, należą pod pewnym względem do literatury dziejów cywilizacji. Literatura ta wszakże nie ograniczyła się w roku zeszłym u Niemców jedynie na studjach prologu historji, lecz zajęła się i samą historją. Przyznam się że nie porównywałem katalogów, jeśli mi jednak wolno wierzyć własnej pamięci, powiem, że rok ubiegły okazał szczególne upodobanie do opracowania dziejów człowieczego rozwoju. W zacytowanych wyżej książkach mieliśmy pierwsze tego kierunku ślady, dalej idzie dość pokaźne grono odnowionych lub świeżych, oryginalnych lub tłumaczonych publikacyj, które już wyraźnie *Culturgeschichte* na swoich okładkach wypisały.

Mińmy jednak starego Scherra (*Deutsch Cultur- und Sittengeschichte 1874*), Kolba (*Sittengeschichte der Menschheit 1874*), mińmy dalej nowe tłumaczenie Buckla i Lecky'ego i zatrzymajmy się chwilę przy płodach najświeższych i rodzimo niemieckich. Reprezentowane one są przez trzy wielkiego rozmiaru dzieła Honnegera: *Grundsteine einer allegemeinen Culturgeschichte der neuesten Zeit* (Leipzig); Alfreda Kremmer: *Culturgeschichte des Orients unter den Kalifen* (1875), wreszcie największe Friedricha von Hellwald: *Culturgeschichte in ihrer natürlichen Entwickelung bis zur Gegenwart* (Augsburg). Praca Honnegera w znacznej części należy do przeszłości, gdyż rok miniony błogosławił tylko jej tom piąty, Za to jest on czasem narodzin książki Kremera, która znowu w znacznej części należeć będzie do przyszłości, gdyż dotąd ukazał się dopiero jej tom pierwszy. Sprawozdawca ma większy obowiązek w przedstawieniu a czytelnik większy interes w poznaniu płodu świeżego niż kilkoletniego, usunąwszy więc na bok Honnegera zróbmy miejsce Kremerowi. Jego Historja cywilizacji Wschodu, chociaż tylko ogranicza się na dziejach państwa Kalifów założona jest na ramy bardzo rozległe. Autor bowiem postanowił drobiazgowo odmalować wszystkie sfery życia arabskiej monarchji, cały jej organizm i prawa rozwoju. Długoletni pobyt autora na Wschodzie dozwolił mu przystąpić do dzieła z obfitym naukowym zasobem a i podnieść do znaczenia pracy źródłowej. Tom pierwszy traktuje tylko stosunki wewnętrzne — moralne, prawne państwowe. Niektóre fakta odsłonięte przez Kremera, posiadają wielki naukowy interes i ukazują się nam po raz pierwszy. Kopiuję na próbę choć kilka obyczajowych rysów arabskiego życia w drugiej połowie naszej ery, wyjętych z kodeksu karnego. Otóż kodeks ten był za pewne rodzaje przestępstw bardzo surowy. Wolni wykraczający przeciwko czystości obyczajów podlegali karze rózg 10, owdowiali 100, do czego często dodawano kamienowanie, niewolnicy 50, połączonych zaś ślubami kamienowano na śmierć. Za kradzież pierwszy raz odcinano prawą rękę, drugi — lewą nogę, trzeci — lewą rękę, czwarty—prawą nogę. W oryginalny sposób definjowano zasadę wypadków kradzieży, mianowicie gdy rzecz zabrana nie dochodziła wartości 1^{0} (inni $^{1}/_{4}$). Dynara wypadek taki nie zachodził i wtedy kary nie stosowano. Ten przepis pokazuje nam jak nierozwiniętem było jeszcze poczucie prawa, przy tym bowiem paragrafie możnaby bezkarnie ukraść miljony, po $^{1}/_{5}$ np. dynara. Kto rzucił niesłuszną potwarz dostawał 80 rózg. Rozmyślne zabójstwo karano albo uprzywilejowaniem krewnych do zemsty, albo (w razie gdy ci się zrzekli odwetu) obowiązkiem pieniężnego wynagrodzenia. Jakkolwiek poglądy prawników nie godziły się w oznaczeniu normy tego wynagrodzenia dla różnic stanu i płci, można jednak przybliżenie wykupy sprowadzić do następujących opłat: Za jednostkę w rachubie przyjmowano z początku jednego wielbłąda, który później wyrównywał 10 dynarom. A więc za umyślne zabicie wolnego Moslima: 25 wielbłądów samców więcej niż jednorocznych, 25 samic przeszło dwurocznych, 25 czteroletnich i 25 pięcioletnich (albo w pieniądzach za 100 wielbłądów 1000 dynarów.) Za kobietę należała się połowa, a za niewolnika jego wartość. Za każdy umyślnie komuś odcięty członek, karano odcięciem takiegoż winnemu. Dla wynagrodzeń zaś ustanowiona była następująca taryfa: każdy palec kosztował 10 wielbł., jego część $3^{1}/_{2}$. Za oczy należała się pełna kara 100 wielbł. (lub 1000 dyn.)*) Do znajomości dziejów cywilizacji Wschodu z czasów Kalifatu, Kremer przywiązuje wielką wagę, przypominając, że tam zrodziło się wiele idei, które na gruncie europejskim bardzo późno wzrosły. „Szkoła prawa w Bagdadzie —

*) Od str. 456—489.

powiada autor — już stawiała zasady, że żadne sądowe zeznanie nie jest ważne, jeżeli wymuszone zostało gwałtownemi środkami; że nikt nie może być pozbawiony swobody jedynie z racji podejrzenia o czyn karygodny, że życie niemahometanina lub niewolnika tyleż warte ile prawowiernego i wolnego. W tejże szkole rozwiązywano takie pytania, jak: czy kobieta może zajmować sędziowski urząd, czy niemahometanin może być dopuszczony do państwowej posady — i nie brak było głosów dających na to twierdzącą odpowiedź. Już w IX. wieku arabski racjonalista Nazzâm powiedział: „Pierwszym warunkiem wiedzy jest wątpienie.“

Dziełem, które dla historjozoficznych wywodów przyjęło za grunt darwinowską teorję, które ją po raz pierwszy zastosowało do tego rodzaju badań, które wreszcie stanowi może najciekawsze zjawisko w całej niemieckiej literaturze ubiegłego roku — jest Historja Cywilizacji Hellwalda. Nadzwyczajna śmiałość pokuszenia, oryginalność zasady w tłómaczeniu zjawisk, szczególny charakter rezultatów wynikłych z jej stosowania, niezwyczajność naukowych widoków; masa głębokich prawd i kolosalnych błędów, wszystko to nadaje owej pracy niepospolity interes. Chociażbym poświęcił dla niej miejsce przeznaczone w tym liście wzmiankom o innych jeszcze publikacjach, nie mógłbym dać nawet wtedy czytelnikom przybliżonego o niej pojęcia. Mam więc do wyboru dwie drogi: albo zrzekłszy się sposobności powiedzenia kilku ogólników o rzeczy, która na inne traktowanie zasługuje, poprzestać na tej krótkiej notatce, albo zapowiedzieć wam osobne obszerniejsze o książce Hellwalda sprawozdanie. Zapowiedzi wszakże są przywilejem redakcji, niech ona więc wam odpowie w *post-scriptum* do mojego listu.

Historjografji właściwej przybyło w literaturze niemieckiej ostatniemi czasy dzieł poważniejszych nie wiele. Jak gdyby ratując ten niedostatek a może spekulując na nim, nakładcy powznawiali w świeżych edycjach swych klasycznych dziejopisów: Rankégo, Momsena, Niehbura i innych. Jedynemi więc wybitniejszemi publikacjami tej dziedziny są przed kilku laty rozpoczęte i w obecnym roku dalej podprowadzone olbrzymie dzieła: Sybla (*Geschichte der Revolutionszeit* V. Band,) Giesebrechta (*Geschichte des deutschen Kaiserthums* IV. B.), wreszcie dalszy ciąg *Geschichte Schwedens* wydawanej w znanym zbiorze „Historji państw europejskich.“

Wszyscy jednak Syble i Giesebrechty są liliputami wobec humorystycznej pamięci autora *Geschichte Oesterreichs mit besonderer Rücksicht auf Culturgeschichte*, mianowicie wobec Dra. Franc. Meyer, który drugim tomem zamknął na roku 1874 swój historyczny skarbiec. Nie przeczę wcale, że w skarbcu tym jest niejakie, zresztą zgadzam się że nawet jest dużo naukowego ziarna, ale miły losie co też za to plew! Przedmuchiwać ich nie będę, bo nie mam czasu na korektę dla pana Meyera, nie mogę wszakże nie pokazać wam próbki historycznej filozofji tego myśliciela. Próbka ta jest tem ciekawszą, że się do nas odnosi. „Między Austrją, Rossją i Prusami istniało obieralne Królestwo Polskie, które oddawna wewnętrznie się rozpadło. Król był bezwładny, arystokracja która jedynie (?) naród stanowiła — wskutek długiego rozpasania polityczne zdemoralizowana i dla wszelkiego przekupstwa dostępna. Zbierała się ona na sejmy, których postanowienie unieważnić mogło *liberum veto* każdej jednostki. Stan miejski tam się tylko utworzył, gdzie w Wielkopolsce osiedli niemieccy koloniści; chłopi zostawali w poddaństwie, a wskutek tego zupełnie zdziczeli(!). Król Stanisław Leszczyński nazywał Polskę jedynym(!) w Europie krajem, gdzie masa narodu nie posiadała praw ludzkich, Chłopom bowiem wzbraniano niemal powietrza do oddychania(!). Państwo było bez szkół, bez przemysłu i handlu, musiało więc paść na ofiarę ościennym mocarstwom.“ Prawdy te zapisane są w dosłownie tłómaczonym tekście na str. 158. Autor podobno jest profesorem (jeśli się nie mylę w Gratzu), otóż chciałbym widzieć zakład, gdzie takich profesorów kształcą. Bo to w pewnym względzie unikat! Mieć odwagę w kilku wierszach zadecydować o historji której się nie zna, te kilka wierszy tak nadziać, żeby się w nich głupstwo aż roiło i na to wszystko przylepić naukową etykietę — to rzadkie! Szczęściem że z banaluków p. Meyera zalatuje woń jakiejś naiwnej niewiadomości. Poczciwiec pisząc o Austrji nie miał czasu albo zresztą nie mógł poinformować się należycie, co to była ta Polska i Polacy, o których nie zbyt pochlebnie mu opowiadano, a że pamiętał kilka przysłów *über die Polen* więc za ich natchnieniem puścił się na skrzydłach intuicji — i jak widzimy źle trafił. Proponuję więc ułaskawienie dla niego, tem więcej że natura nie obdarzyła go szczególną przenikliwością, jeśli mógł na jednej stronicy z tak zimną krwią nas *zum Opfer* skazać a na drugiej zapisać szlachetne słowa Marji Teresy, która opierając się rozbiorowi Polski, rzekła: „Widzę że jestem sama i już nie en vigueur, przeto godzę się na tę sprawę, jednak nie bez strasznej przykrości, że tą drogą iść muszę.“

Kiedy p. Mayer myślał — czy pisząc swoje czy przepisując Marji Teresy słowa? Prawdopodobnie ani w jednym ani w drugim wypadku...

(Prosimy. przyp. Red.) Ale...

DZIEDZICZNOŚĆ CHARAKTERU

przez

A... S...

(Ciąg dalszy.)

Przykłady atawizmu tj. dziedziczności nie bezpośredniej, z rodziców na dzieci przechodzącej, lecz pośredniej, omijającej nieraz dwa lub trzy pokolenia są bardzo częste. Naturalnie w tych i tym podobnych wypadkach przypuszczać należy pewne umysłowe zboczenie, które jak wszelką inną chorobę jedne generacje drugim udzielają. Lekarz szkocki Robert Thomson przytacza z obserwacyj swoich następujące cyfry: Na 5,432 aresztantów przypadało 673 niezdrowych na umyśle, chociaż według powszechnej opinji nie kwalifikowali się do domu obłąkanych. Zaś z 904 uwięzionych w Perth, 440 po pewnym czasie wróciło nazad do więzienia składając tym sposobem świadectwo swej fatalnej namiętności. Powoławszy sie na te fakty Ribot dochodzi do następujących wniosków: 1) że te namiętności, które nie dadzą się wytłumaczyć w jednostce osobno wziętej, wyjaśniają się, jeżeli je śledzimy w przemianach ukazujących się przez kilka pokoleń i jeśli je odniesiemy do ogólnego prawa dziedziczności; 2) że namiętność jest tak pokrewną z szaleństwem, iż dwóm tym formom dziedziczności możemy przyznać jedną psychologiczną podstawę. — Jeżeli co, powiada dalej Ribot, sprowadza wiele kłopotu, to przedewszystkiem metamorfozy dziedziczności. Często np. zdarza się, że obłąkanie przeradza się w potomstwie na chęć samobójstwa, ta znowu na obłąkanie, hipokondrję lub alkoholizm. Pewien złotnik wyleczony z pierwszych napadów pomięszania zmysłów wskutek rewolucji w 1789 r. otruł się. Najstarsza jego córka zwarjowała; jeden z synów rozpłatał sobie wnętrzności nożem; drugi oddał się pijaństwu i skończył na ulicy. Młodsza córka wyszła za mąż, i jej syn umarł na epilepsję i obłąkanie; córka straciła zmysły i chciała się koniecznie zagłodzić. Dwoje jej dzieci umarło na zapalenie mózgu — trzecie nie chcąc ssać — z głodu. — Cytowany u Ribota Gintrac zauważał fakt następujący: Pewien ojciec dotknięty obłąkaniem miał syna, który znakomicie sprawował publiczne urzędy. Jego dzieci zdawały się z początku być przy zdrowych zmysłach, w dwudziestym jednak roku dostały pomięszania. Na 22 wypadki dziecinnego obłąkania Aubanel i Thoré liczą dwa fakty tego rodzaju. Zadziwiającą jest rzeczą, że często złe trzyma się stale w następnych pokoleniach pewnego terminu. Lucas np. przytacza historję znakomitej hamburskiej rodziny odznaczającej się wojennemi talentami, której członkowie w czterdziestym roku życia wpadli w obłąkanie. Ostatni potomek, jak jego przodkowie uzdolniony, musiał poddać się rozkazowi senatu, który mu wzbronił się żenić. Fatalna pora nadeszła, nieszczęśliwy rzeczywiście postradał zmysły. Inny rodzaj chorobliwej dziedziczności przedstawia następujące podane przez Brierre de Boismonté zdarzenie. Pewien ośmnastoletni młodzieniec, nie entuzjasta, nie zabobonny, wszedłszy raz wieczorem do wiejskiego kościoła spostrzegł z przerażeniem widmo swej zmarłej przed kilku miesiącami matki. Widzenie to powtórzyło mu się parę razy. Uczuwszy się z tego względu chorym powrócił do Paryża, gdzie mieszkał jego ojciec, któremu jednak nic o tem nie wspomniał. Sypiając z ojcem w jednym pokoju zauważył, iż ten wbrew swemu zwyczajowi zostawiał przez całą noc palącą się lampę. Ponieważ światło przeszkadzało mu zasnąć chciał je pewnego wieczora zgasić — ale ojciec kazał natychmiast znowu zapalić. Wreszcie dnia jednego pojechał odwidzić swego brata umieszczonego w pensjonacie małego miasteczka o piętnaście mil od Paryża. Zaledwie wszedł do zakładu, syn zawiadującego szkołą pyta go: „Czy brat pański cierpiał kiedy na pomięszanie zmysłów? Przeszłej bowiem nocy wyszedł w koszuli bezprzytomny mówiąc, że widział ducha swojej matki.“ Wolter, który bardzo wcześnie zwrócił uwagę badaczy na tego rodzaju objawy opisuje ciekawe zdarzenie: „Widziałem, powiada on, prawie własnemi oczyma jedno samobójstwo, które powinno dać wiele do myślenia naturalistom. Pewien człowiek zajmujący poważne stanowisko, w wieku już dojrzałym, porządnego prowadzenia się, bez namiętności, nieubogi, zabił się 17 października 1769 r. zostawiwszy na piśmie do rady miasta w którem był urodzony, apologję swej dobrowolnej śmierci, czego nie uważano za stosowne publikować z obawy, ażeby to nie zachęciło innych do odebrania sobie nieszczęśliwe prowadzonego życia. Nie dość na tem, jego ojciec i brat zabili się w tymże samym wieku.“ — Falret przytacza inne zdarzenie: Pewien ojciec milczącego usposobienia miał pięciu synów: najstarszy w czterdziestym roku rzucił się bez powodu z trzeciego piętra; drugi w 35 r. się udusił; trzeci wyskoczył oknem; czwarty się zastrzelił; jeden z krewnych tej rodziny dla jakiejś drobnostki rzucił się do rzeki. Pewien monomanjak, powiada Moreau de Tours, zabił się w trzydziestym roku. Jego syn zaledwie doszedł do tej pory uległ również monomanji i dwa razy robił zamach na własne życie.— Inny w sile wieku dostał melancholji i utopił się; jego syn, zdrów, bogaty, ojciec dwojga zdolnych dzieci utopił sią w tymże samym wieku. — Pewien smakosz zawiodłszy się na dobroci wina rzucił się do wody; uratowany, powtórzył drugi raz toż samo — co mu się wreszcie udało. Jak wykryły lekarskie poszukiwania był on synem i bratem ludzi, którzy w ten sam sposób i z tej że przyczyny życie zakończyli!

Obok monomanji samobójczej również często spotykać się daje przekazywana monomanja morderstwa. Oto jeden z wielu przypadków przez naukowe roczniki notowanych. Pewna kobieta nazwiskiem Olhaven ciężko zachorowawszy, zmuszona była przestać karmić sześciotygodniowe dziecko. W słabości jej napadła ją niepokonana chęć zamordowania go. Szczęściem w porę spostrzeżono jej zamiary, i przeszkodzono. Ponieważ chora leżała wtedy w silnej gorączce faktu więc

tego nie pamiętała a wyzdrowiawszy była ciągle najserdeczniejszą matką. Córka jej dorosłszy została mamką dwojga dzieci. Pewnego dnia uczuła strudzenie i jakieś „ruchy w żołądku.“ Wieczorem zamknąwszy się z dziećmi w pokoju doznała gwałtownej chęci zarznięcia jednego. Przerażona tą straszną pokusą chciała ją odpędzić śpiewem, tańcem, wreszcie snem. Lecz zaledwie się zdrzemała natychmiast ją budził fatalny zamiar. Jakkolwiek wreszcie zapanowała nad sobą, dopiero jednak po zażyciu lekarskich środków uspokoiła się zupełnie. Opuśćmy na chwilę dziedzinę faktów, które w tej liczbie stanowią już dostateczną illustrację do praw dziedziczności i zajmijmy się teoretycznem sformułowaniem kwestji.

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— A. Z. Helcla pism pozostałych wydanie pośmiertne staraniem Akademji Umiejętności. Tom I. W Krakowie. 1874.

Z przedmowy do tego wydania dowiadujemy się, że pomiędzy papierami po ś. p. Antonim Zygmuncie Helclu pozostałemi znalazły się dzieła i rozprawy dotąd niedrukowane a w szczególności: a) Dawne prawo prywatne polskie. b) Historja dawnego prawa polskiego. c) Rozprawa o szlachcie. d) Rozprawa o starostach i prokuratorach.—Prace te ogłasza obecnie Akademja umiejętności drukiem. Tom pierwszy mieści w sobie: „Dawne prawo prywatne polskie, część obejmującą wstęp, zasady ogólne i prawo rzeczowe. Prawo to napisał Helcel pomiędzy r. 1849 a 1853 do wykładów w uniwersytecie jagiellońskim. W następnym tomie umieszczoną zostanie historja dawnego prawa polskiego.

— Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego Akademji umiejętności. Tom I. W Krakowie. 1874.

Prócz sprawozdań zawarte są w tym tomie następujące rozprawy: Dr. A. Małecki: O zadaniach wydziału filologicznego akademji umiejętności. Wł. Łuszczkiewicz, Malarstwo cechowe krakowskie XV i XVI wieku. Dr. I. Szujski: Trzy zabytki języka polskiego. XIV i XV w. Wł. Łuszczkiewicz: Malarz monogramista K⊟ i obrazy jego w kościołach krakowskich. Przyczynek do dziejów sztuki. J. Łepkowski: O modlitewniku Zygmunta I., rękopisie zachowanym w bibljotece uniwersytetu monachijskiego. Dr. Wojciech Kętrzyński: Ks. Dr Paterek. Dr. Stanisław Tarnowski: Krzysztof Warszewicki.—Dodatki: I. Bibljograficzny wykaz dzieł K. Warszewickiego. II. Memorjał do cesarza 1576 r. Ks. Antoni Moszyński: wiadomość o rękopisach polskich oddziału teologicznego w ces. bibljotece w Petersburgu.

— Wydawnictwa komisji historycznej Akademji umiejętności w Krakowie N. 4. Pomniki dziejowe wieków średnich do objaśnienia rzeczy polskich służące. Tom I. W Krakowie, 1874.

Tom ten zawiera kodeksu dyplomatycznego katedry krakowskiej Ś. Wacława część pierwszą obejmującą rzeczy od roku 1166 do roku 1366. Wydał go i przypisami objaśnił Dr. Franciszek Piekosiński.

— Akademja umiejętności w Krakowie. Sprawozdanie komisji fizjograficznej obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1873, oraz materjały do fizjografji Galicji. (Z 2 tablicami litograficznemi a 1 drukowaną.) Tom ósmy. W Krakowie. 1874.

— Miss Edgeworth. Powieść dla młodszej dziatwy, przekład Jana Chęcińskiego z IX. rycinami. Warszawa. 1875.

— Malowanki. Dziesięć kolorowanych tablic opisane rymem dla drobnej dziatwy przez Jana Chęcińskiego. Warszawa. 1875.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— W świecie literackim ruch u nas coraz większy; po ukazaniu się „Tygodnia“ pojawił się „Ruch literacki“ teraz młodzież wydaje w Krakowie małe pisemko pt.: „Szkice społeczne i literackie“ a w tym jeszcze miesiącu zaczną wychodzić we Lwowie dwa pisma ludowe „Wieniec“ i „Pszczółka“— których prospekt dołącza się do dzisiejszego numeru. Redaktorem tych pism jest p, Czesław Pieniążek, a jednym z głównych współpracowników p. Juljusz Starkel, członek Rady szkolnej. Wymienienie tych dwóch osobistości najzupełniej wystarcza. Pisarze ci są dziś w Galicji najlepiej obznajomieni ze stosunkami włościan i dla ladu pisać umieją, co najwięcej znaczy. Apelujemy do naszych czytelników, aby z całą patrjotyczną gorliwością zajęli się rozpowszechnieniem tych pism, bo w oświacie ludu leży nasze zbawienie.

— W niedzielę odbędzie się we Lwowie koncert p. Mikulego. Cały dochód przeznaczony na zakupno „Unji Lubelskiej.“ Mamy nadzieję że publiczność licznym współudziałem pomnoży fundusz przeznaczony na cel tak szlachetny.

— Nieznany dotąd poemat Klonowicza p. t. „Gorais in qua continetur vetustissima Goraisciorum gentis genealogia et encomium autore Sebastiano Fabiano Acerno“ ma wyjść niedługo na widok publiczny. Utwór ten obejmujący dzieje rodziny Gorajskich wynalazł w r. 1873 prof. Okęcki pomiędzy rękopismami ordynacji hr. Zamojskich.

— Za najlepszą dotąd uznana metoda Toussaint-Langenscheidt'a dla uczących się z pomocą lub bez pomocy nauczyciela języka francuskiego, —która w Niemczech doczekała się w krótkim przeciągu czasu 22 wydań—wyjdzie obecnie nakładem S. Orgelbranda synów w tłumaczeniu polskim. Metoda ta zawartą jest w 36 listach.

— Podczas kongresu archeologicznego w Kijowie, znalazłszy poparcie kilku ludzi, powziął profesor petersburgskiego uniwersytetu „Iwerson“ zamiar wydania pod tytułem „Radziwilliana“ 173 portretów Radziwiłłów, których miedzioryty są w jego posiadaniu. Do portretów ma być dołączony bardzo krótki tekst łaciński, który znajduje się przy jedynym odbitym dawniej egzemplarzu, przechowywanym w Kijowie. Publikacja ta ważna, zwlaszcza dla malarzy i historyków. Każdy większy księgozbiór a zapewne i niejedna rodzina, spokrewniona z przemożnym domem książąt Radziwiłłów, zechce nabyć tę publikację. Cena egzemplarza 25 rs. Ponieważ jednak p. Iwerson ograniczy się odbiciem tylko zamówionej liczby egzempl., przeto osoby, któreby życzyły nabyć to dzieło, raczą się zgłosić zawczasu do księgarni Celsa Lewickiego, na Krakowskiem przedmieściu Nr. 410 ze swemi żądaniami. Radziwilliana mają wyjść w ciągu roku 1875 — a nawet w pierwszej jego połowie.

— Nr. 1448 i 1449 Bibljoteki pisarzy angielskich Tauchnitza obejmuje w sobie na nowo przejrzaną i aż do najnowszych czasów dociągniętą historję literatury angielskiej: „A Manual of English Literature and of the History of the English Language‘ przez Jerzego L. Craik. Pisarz ten, zmarły właśnie w ostatnich czasach, był profesorem historji i literatury angielskiej w „Queen College“ w Belfast — a obecna praca jego jest obok Chambersa „Cyctopaedii“ najdoskonalszem dziełem w tym rodzaju, ze wszystkich, jakie Anglja posiada. Znajdują się w niem nawet tu i owdzie wyjątki z poetów i celniejszych pisarzy. Jest to wyborny podręcznik dla studjujących literaturę Albjonu. Nr. 1450 tej samej bibljoteki przynosi nowy tomik tak ulubionych i prędko spopularyzowanych Bret Harta: „Idyls of the Fothills in Prose and Verse“. Tomik ten poprzedza nader interesujący szkic bjograficzny z życia autora, — a kilka drobnych powiastek w nim zawartych pierwszy raz pojawia się przed publicznością. Należy przeczytać tylko pierwszą z nich p. t. „A Passage in the Life of Mr. John Oakhurst“ ażeby przekonać się, że kalifornijski poeta nic dotąd ze swej zachwycającej świeżości nie utracił. Prawda i naturalność na każdym kroku; maniery ani śladu. Gorąco polecamy ten utwór publiczności naszej zajmującej się literaturą angielską.

— Nowy obraz Jana Matejki: „Zawieszenie dzwonu Zygmunta na wieży katedralnej w r. 1521 w obecności króla i dworu“ został wystawiony w Krakowie na wystawie sztuk pięknych. Wkrótce podamy ocenę tej nowej pracy największego malarza polskiego.

— Pan Karłowicz nadesłał Bibljotece warszawskiej anegdotę o Adamie Mickiewiczu, którą jako szczegół nieznany podajemy: „Pan Adam Pilecki, obywatel powiatu nowogrodzkiego, obecnie starzec przeszło siedmdziesięcioletni, opowiadał mi, że kolegował z Adamem Mickiewiczem w szkole księży Dominikanów w Nowogródku i że przypomina sobie następne zdarzenie, zaszłe w r. 1809 lub 1810. Raz na lekcji historji starożytnej, profesor wyrwał niejakiego Steckiewicza, a ten niepewny będąc lekcji, prosił siedzącego obok Mickiewicza aby „podpowiadał.“ Przyszły wieszcz poważnie mu podszeptywać zaczął następujące wierszyki:

Niedaleko Damaszku
Siedział djabeł na daszku,
W kapeluszu czerwonym,
Kwiąteczkami upstrzonym.

Steckiewicz w dobrej wierze wygłaszał te rymy, aż i sam i obecni spostrzegli się: poczem naturalnie śmiech ogólny przerwał recitativo“.

— Nakładem warszawskiego wydawcy J. Kaufmana zacznie temi dniami wychodzić tamże „Świat muzykalny“ który prócz nut będzie zawierał obszerniejsze wiadomości z dziedziny sztuki muzycznej.

— Donoszą z Turynu, że nowa opera kompozytora Libani „Zielony hrabia“ w teatrze Vittorio Emanuele niesłychane miała powodzenie. Autora wywoływano 22 razy.

Podróże i wynalazki.

— Publikacje odnoszące się do austrjackiej wyprawy do bieguna północnego nie tak prędko jeszcze dostaną się do rąk czytającego świata. Najprzód bowiem w ciągu bieżącego roku porucznik Weyprecht wraz z Broschem i Orłem w Trjeście opracują cały naukowy materjał tej podróży — który szczególniej co się tycze hydrografji, meteorologji, magnetyzmu itd. jest tak obszerny, iż uporządkowanie znacznego czasu wymaga. Całą tą publikacją zajmie się wiedeńska Akademja umiejętności. Praca Payera nie będzie mieć z tą nic wspólnego: zajmuje się on ułożeniem mapy i opisem odkrytego kraju. Weyprecht zamyśla także o wydaniu taniego, popularnego, bez rycin opisu swej podróży. Ułożone zaś przez Payera opowiadanie o tej wyprawie wyda w języku angielskim firma Macmillan w Londynie.

— Stary świat chlubić się już może szklannemi kotłami i papierowemi beczkami, Ameryka obecnie postąpiła jeszcze krokiem dalej: buduje bowiem statki z papieru. Niejaki p. N. H. Bishop wypłynął na takim statku z Troy i zamierza na nim zatoki meksykańskiej dosięgnąć. 24. Grudnia z. r. dotarł do Irvingtonu a 25 ruszył ztąd dalej do Nowego Yorku i Filadelfji. Wedle sprawozdań nadesłanych przez niego statek ten zrobiony z Papier-Maché trzymał się przez całą tę drogę wybornie i nie ma najmniejszej wątpliwości, że bez szwanku dosięgnie zamierzonego celu.

Statystyka.

— Jak olbrzymim jest żołądek Paryża niech na dowód posłużą następujące daty autentyczne. Oto roku minionego sprzedano tamże w halli centralnej 114 miljonów kilo (2 funty) mięsa wołowego, 23 miljonów kilo wieprzowiny, 25 miljonów kilo ryb, 14 miljonów kilo masła, 440 miljonów jaj, 17 miljonów ostryg. Ptactwa zaś różnego nie mniej, nie więcej tylko 18 miljonów sztuk, między temi 5,435.782 samych kur.

Gospodarstwo.

— Czyszczenie ulic w Paryżu jest dla tego miasta źródłem niewyczerpanego dochodu. Już w. r. 1823 pozyskało ono ze sprzedaży śmieci ulicznych 75000 fr. w 1831 r.—166000 a w 1845 — 500000 fr. W najnowszych czasach suma, którą płacą miastu przedsiębiorcy czyszczenia ulic, podniosła się do 600000 fr., oprócz tego do przedsiębiorców należy sprawienie potrzebnych przyrządów i uprzątnięcie zabranych śmieci; przyczem znajduje zajęcie więcej niż tysiąc ludzi. Dochód jaki przynoszą przedsiębiorcom śmiecie uliczne, gdy nieco poleżą i na nawóz sprzedane zostaną, — wynosi więcej niż trzy miljony fr.

Nekrologja.

— Dnia 7. bm. zmarł w Warce pułkownik Piotr Wysocki. W miasteczku tem był on internowany od czasu powrotu z wygnania, tj. od r. 1857. Piotr Wysocki był twórcą spisku wojskowego a następnie powstania listopadowego z r. 1830. Był to mąż wielkich cnót i wielkiego charakteru. Liczył lat 78.

ROZMAITOŚCI.

— W jednym z dzienników niemieckich znajdujemy następujące ciekawe szczegóły odnoszące się do pojęć religijnych, przesądów i mitów Grenlandczyków. Grenlandczykowie, — powiada wspomniany dziennik, — jedno z plemion eskimoskich, należą do najdobrotliwszych dzikusów. Oszustwo, kradzież, niewstrzemięźliwość w jedzeniu i piciu, bójki—są niesłychaną u nich rzeczą. Mają i oni jednak swoją ciemną stronę jak dowodzą tego sprawozdania takich podróżników jak Mackenzie, Scoresby, Ross, Parry itd. Tą ciemną stroną jest uparty wstręt do cywilizacji naszej. Cały zapał misjonarzy nie wystarczał do przełamania tej niechęci i dopiero w ostatnich piętnastu latach, gdy poczęto tubylców na misjonarzy kształcić, tym udało się nieco oświaty pomiędzy współziomkami swymi zaprowadzić. Od nich to także powzięto pewne wiadomości o podaniach i przesądach Grenlandczyków. I tak naprzykład ziemia wedle pojęć tego ludu spoczywa na łapach morsa i dawno by już była upadła, gdyby nie potęga czarowników, którzy ją przytrzymują. Gwiazdy są to zwierzęta i ludzie, którzy ziemię niegdyś zamieszkiwali. Spadające gwiazdy uchodzą za dusze, które z niebios dla zwiedzenia piekieł się udają. Wielka Niedźwiedzica nasza nazywa się Renem; Plejady, wedle których lud godziny nocne oblicza, nazywają się u nich **kekukiurset** to znaczy psy szczwające niedźwiedzia. Słońce i księżyc były niegdyś na ziemi rodzeństwem, siostra miała na imię Malina, brat—Anninga. Anninga przy jakiejś grze dziecinnej po ciemku dokuczył bardzo siostrze swojej; ta aby go poznać przy dniu zawalała sobie palce kopciem od lampy i pociągnęła mu niemi po twarzy i sukniach: z tąd plamy na księżycu. Całe życie Anninga ścigał ją za to, a gdy po śmierci stała się słońcem, jego w księżyc zmieniono. Goni więc wciąż siostrę swoją, ale wysiłki jego nadaremne, — bo dojść do tej wyżyny, kędy ona się znajduje nie może. Nie traci jednak nadziei doścignięcia jej kiedyś. Każdym razem gdy się znuży tą pogonią, wygłodzi i zgniewa marnym trudem swoim, chudnie i wówczas następuje „ostatnia kwadra.“ Wtedy niknie z nieba i rusza saniami zaprzężonemi w cztery psy na łowy na psa morskiego. Łowy te są zawsze pomyślne — to też księżyc po niejakim czasie pojawia się z pełną i błyszczącą twarzą na niebie Anninga, księżyc, nieprzyjaciel kobiet cieszy się ze śmierci każdej Grenlandki, a Malinę, słońce, raduje zgon każdego dzielnego łowcy psów morskich. Błyskawica pojawia się wtedy, gdy dwie czarownice rozciągają wysuszoną skórę psa morskiego; a szelest ztąd powstały grzmot rodzi. Raj znajduje się za morzem u wielkiego ducha T o r n g a r s u r i matki jego. Tam nigdy słońce nie zachodzi, nigdy nie braknie najwyborniejszej wody, ryb i ptaków, które bez wszelkiego trudu chwytać się dają. Pierwszy człowiek nazywał się K a l l a k i powstał z ziemi, a z wielkiego palca jego — kobieta; z tej urodziła się śmierć.—Inne mity Grenlandczyków przypominają podania religij wschodu. Wierzą oni także w zmartwychwstanie i sąd ostateczny.

— Misjonarze hiszpańscy wysłani z Meksyku do Kalifornji potrafili uzyskać niezmierny wpływ nad tamtejszymi Indjanami. Doszli zaś do tego obchodząc się z nimi jak z dziećmi, potrzebującemi ciągłej opieki. Objęli w zarząd ich wioski, wzięli na siebie staranie o ich pożywienie, odzież, o najmniejsze potrzeby codzienne. Założyli wielkie magazyny, w których Indjanin składa wszystkie produkta swojej pracy, a w zamian odbierał rzeczy najpotrzebniejsze dla siebie. Zachęcili Indjan do pracy i nauczyli ich oszczędzać. Dzięki tym usiłowaniom, które trwały bez przerwy od 1833, — dziś pozostało zaledwie 21.800 dzikich w całym ogromnym Stanie Kalifornji. Reszta już należy do cywilizacji!...

— Dziś dopiero podają dzienniki szczegóły strasznej tragedji, która przed kilku miesiącami odegrała się na pełnem morzu. 1. sierpnia liwerpolski statek „Euxin“ wypłynął z ładunkiem węgla z Childs do Adenu. W drodze węgle się zapaliły. Przez cały tydzień osada usiłowała pożar ugasić, ale dziewiątego dnia zmuszona była opuścić statek, siąść na łódki i puścić się na nich w kierunku wyspy św. Heleny. Niebawem łódki rozpierzchły się po morzu, i o losie dwóch z nich nic a nic dotąd nie wiadomo. Trzecią, w 22 dni po zatonięciu statku, napotkał holenderski parowiec. Okropna jest historja jej błąkania się po morzu. Z początku znajdowało się w niej ośmiu ludzi, ale wkrótce dwóch z nich pochłonęło morze. O losie trzeciego młodego chłopca, rodem Włocha, tak opowiada jeden z uczestników katastrofy: „30 sierpnia głód i pragnienie szarpiące nasze wnętrzności doszły do najwyższego stopnia i zdecydowaliśmy się pić morską wodę. Najwięcej z nas pił jej niejaki Müller, Niemiec. 31go począł on być bardzo niespokojny i prosił nas, żebyśmy go zarżnęli i zjedli; w przystępie gorączki sam sobie chciał poderznąć gardło. Tegoż samego dnia zaczęliśmy napomykać, iż rzeczywiście nadszedł czas, w którym jeden z nas powinien umrzeć dla ocalenia innych. Rzuciliśmy losy, i wypadło, iż ów młody Włoch ma umrzeć. Nie dostrzegłem najmniejszej zmiany na jego twarzy, spokój ani na chwilę go nie opuścił. Ubiegła jeszcze godzina, a my jeszcze nie mogliśmy się zdecydować, co począć. Włoch ukląkł i począł się modlić. Słyszałem jak mówił słowa: *Ave Maria!* W pięć godzin byliśmy już na parowcu holenderskim, ale kapitan jego znalazł w naszej łódce kawałeczek pieczeni i kilka kropel krwi“....

— Jeden z dzienników wiedeńskich podaje następujące szczegóły o pobycie w akademji terezjańskiej księcia Alfonsa asturyjskiego, świeżo ogłoszonego królem hiszpańskim. Oto jego słowa: Przed kilku jeszcze miesiącami Alfons de Assisi, książe Asturji, syn zdetronizowanej królowej Izabelli, bawił w tutejszej akademji wojskowej terezjańskiej. Książę był uczniem tak zwanym *extra muros.* 20. stycznia 1872 r. a więc nierychło po abdykacji jego matki przybył do Wiednia książę Alfons w towarzystwie swego mentora Murphy, mającego rangę szambelana, i generała Canovas del Castillo, w celu ukończenia tutaj nauk. Wybrano na ten cel Terezjanum. Książę Alfons, który wówczas miał lat 15, wstąpił do akademji jako uczeń klasy III-ej. Dano mu trzy pokoje na pierwszem piętrze. Mentor jego i stary kamerdyner, który królowej swojej towarzyszył na wygnanie, tworzyli jego najbliższe otoczenie. Książę Alfons nie uczęszczał na publiczne lekcje, ale profesorowie przychodzili do niego. Tylko lekcje gimnastyki, fechtunku, tańca i woltyżowania pobierał wspólnie z innymi uczniami. Książę Alfons uczył się z ochotą i szybko. Był wielkim miłośnikiem teatru, bywał częstym gościem w teatrach nadwornych, a później w operze komicznej bywał prawie codziennie. W teatrze w Burgu widziano go raz na parterze na przedstawieniu Don Carlosa. Aktor Krastel cieszył się szczególnemi księcia względami. Po przedstawieniu zwykł był książę ze swoim mentorem zachodzić do najbliższej teatru restauracji, gdyż w Terezjanum wszyscy uczniowie muszą razem jadać o wyznaczonych godzinach. Na początku lipca 1874 r. rozeszła się nagle wieść o odjeździe księcia. Zapytany o to, odrzekł: „Nie sądzę, aby już był czas“. W tem 20. lipca otrzymał telegram wzywający go natychmiast do Francji. Książę ze łzami w oczach pokazał ten telegram dyrektorowi akademji, i nazajutrz odjechał do Francji, zkąd jednak niebawem do Anglji się udał.

— Z Rotenmann, z wyższej Styrji, donoszą o powstaniu nowego jeziora, w skutek częstych wylewów i burz, które nawiedzały przeszłego roku ową okolicę. Jezioro to znajduje się w miejscowości zwanej Unterthal w pobliżu Schladming i zapełnia prawie całkiem tę dolinę. Ludność tamtejsza nadała mu nazwę „Jeziora umarłych“. Powstało ono z małego spokojnego potoczku, który niegdyś tę dolinę przerzynał. Olbrzymia góra oberwawszy się, zatamowała drogę potokowi i zamieniła go w jezioro, i to w jezioro nie lada: spławne dla łodzi, rybne i niekiedy nawet groźnie burzliwe. Ten podarek natury niezmiernie ozdobił krajobraz i ściąga bardzo wielu ciekawych turystów. Nieczuli jednak na piękności przyrody posiadacze gruntów zalanych przez przeźroczyste fale, wszelkiemi siłami starają się wydrzeć zuchwałemu żywiołowi swoją własność i pomimo energicznego oporu niektórych członków gminy zabrali się już nawet do spuszczenia wód w niższe okolice. Pierwsza próba chybiła. Natura bowiem, jakby broniąc swego dzieła, spuściła zaraz przy rozpoczęciu pracy tak gwałtowną zawieję i takie masy śniegu na głowy robotników, że potrwożeni uciekli, zostawiając rzecz całą w zawieszeniu. Nie długo to jednak potrwa. Z pierwszym błyskiem wiosny wandalscy właściciele gruntów postanowili już nieodwołalnie zniszczyć to piękne jezioro, którego żywot tak krótki, że dotyczczas nawet nie miało czasu być naznaczonem na żadnej mapie.

— Z Saint Gothard donoszą co następuje o strasziwej lawinie śnieżnej która tę okolicę nawiedziła: Konduktor pocztowy Renner wyruszył 17. grudnia z. r. rano z Airolo na czele licznej kompanji podróżnych z licznemi bagażami i pakunkami — na saniach — w zamiarze przebycia pierwszy raz tej zimy Saint-Gothardu. Przy wyjeździe śnieg padał nieco, ale zresztą pogodnie było. Dopiero przy wejściu w dolinę Tremola jął wicher dąć, i potężniał tem bardziej, im wyżej wstępowali nasi podróżni. Bez przypadku jednak dosięgli domu schronienia imienia św. Józefa, około jedenastej godziny przed południem. Tu chciał Renner przy pomocy jednego z pocztyljonów pakunki na saniach poprawić i inaczej ułożyć. Nagle wśród tego zajęcia odrywa się ze szczytu góry lawina, stacza się, pada i zasypuje dom schronienia i cały transport pocztowy — zajmując przestrzeń około 100 stóp. Z 13 sanek które składały całą karawanę 10 zrzuconych zostało z drogi o 100 stóp niżej. Śnieg pokrył je zupełnie. Ludzie przeznaczeni do odrzucania śniegu i towarzyszący tej karawanie, wypadli z domu schronienia, w którym po części się znajdowali i zabrali się do odkopywania zasypanych osób. Pomiędzy zasypanymi znajdował się dyrektor poczt z Bellenz i młoda para poślubną odbywająca podróż. Z podróżnych dwóch tylko odniosło nieznaczne rany, jeden zaś po trzech kwadransach dopiero z zimnego łoża dobytym został. Najwięcej ucierpiał konduktor Renner. Ugodzony niesionym przez lawinę kamieniem w sam środek ciała; do tego jeszcze spadłemi saniami przygniecionym został. Ciało jego zbroczone i straszliwie rozgniecione wydobyto wkrótce z pod śniegu. W kilka chwil potem umarł. Jeden z pocztyljonów, który w czasie upadku lawiny znajdował się przypadkiem przy drzwiach domu, wrzuconym został gwałtownie do wnętrza i zasypanym zupełnie. Na szczęście głowa jego znalazła się przy otworze pieca, w którym się na tę chwilę ogień nie palił. To go uchroniło przynajmniej od uduszenia. Po tym całym wypadku o dalszej podróży zaraz naturalnie ani myśleć można było. Spędziło więc towarzystwo, składające się z 30 osób, resztę dnia i noc całą w ciasnym domu schronienia. 18go dopiero przybył konduktor Danioth z Airolo z tłomokami pocztowemi i dwunastu ludźmi do odrzucania śniegu i pomimo wciąż trwającej niepogody zdołał szczęśliwie podróżnych i transport cały do głównego domu schronienia doprowadzić.

— Papuazy, z którymi odważny podróżnik moskiewski Miklusza Maclay wszedł w stosunki, jak się pokazuje ze sprawozdań jego, — nie są zbyt znakomitymi matematykami. Umieją bowiem liczyć tylko do **sześciu**, a w wioskach najbardziej oddalonych od wybrzeża, znajdują się ludzie nie mający pojęcia o liczbach, wyżej **trójki**. Imion własnych zgoła nie znają; dzieciom nadają imię pierwszej lepszej rzeczy z otoczenia zewnętrznego, imię jakiegokolwiek drzewa, owocu, zwierzęcia.

— Neapolitańskie A q u a r i u m urządzone wzorowo głównie w celach naukowych, jak donoszą do londyńskiego A t h e n ą e u m, stało się ofiarą wielkiego spustoszenia, dokonanego przez gromady szczurów. Poprzegryzawszy drewniane ściany i przegrody szczury, pewnej nocy wdarły się do basenów i rozpoczęły polowanie na śpiące ryby i innych morskich wód mieszkańców. Dopiero straszliwy wrzask jednego z tych rozbójników, który przypadkiem dostał się w kleszcze olbrzymiego raka morskiego, zbudził ze snu stróżów. Kiedy przybiegli na miejsce walki, ujrzeli mnóstwo zwierząt już pomordowanych, po których tylko skóry i ości pozostały. Wielka ilość żab, należących do gatunków najrzadszych, meksykańskie salamandry, najosobliwsze mięczaki i moluski, wszystko to stało się smutną ofiarą żarłoczności szczurów.

Treść Nr. 3.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.